



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 2 SIERPNI

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

TRESĆ NUMERU:

W wiekopomną rocznicę. Garda—*Marja Jehanne br. Wielopolska*. Rycerki Polskie (wiersz)—*A. W. Złot Harcerstwa—H...a*. Rozmyślenia wakacyjne—*K. S. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna*. Dobry Pasterz (dokończenie)—*Zuzanna Rabska*. Emil Verhaeren (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Szukający pocieszenia (nowela)—*Marja Dąbrowska*. Krechowce (wiersz)—*Bożymir*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—*K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii—*Emilja Tecka*. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca—*Kazimierz Rogala-Kosiński*. List ze Szczawnicy—*Wanda Mirowska*. W zwierciadle dnia—*Jaga*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Z książek—S. P. O. Z teatrów—Halina C. Wilczyńska*. Kronika mody—*Hrabina Annie*. Wskazówki praktyczne (c. d.)—*Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. TABLICA WZORÓW

W WIEKOPOMNĄ ROCZNICĘ

Zaszumiła nam nad głowami dziesiąta rocznica wielkiej wojny.

Czas już na refleksje, na zdanie sobie sprawy, czem był ten najstraszliwszy z kataklizmów dziejowych, ta najbardziej piorunowa ze wszystkich burz, jakie dotychczas wstrząsały starym naszym globem. Snuło się to, jak romans, jak sen jakiejś niespokojnej gigantycznej wyobraźni.

W huraganowych ogniach, w szale bitew, przy huku pękających bomb i pocisków chodziła... śmierć. Chodziła po lądach i morzach i latała ognista w powietrzu. Nigdy tyle krwi ludzkiej naraz nie wsiąkło w ziemię, nigdy nie pochłoneła ona naraz tyle ciał ludzkich. A poza właściwym obre-
bem działania wojny — straszliwa jej aura — bezmiar mąk: wymarłe z głodu, mrozu i zarazy obozy jeńców, zamienione w ruinę najbardziej cywilizacja kwitnące obszary, miliony sierot, kalek miliony! i wstrząsy społeczne, jakich nie znał dotąd świat, i zniszczone pię-

kno, i spalone księgi... i niemożność nawrotu do dawnych form życia!.

A jednak była ona zadośćuczynieniem sprawiedliwości dziejowej!.

Przy trzasku piorunów wojennych padały znieprawione trony, rozsypywały się w proch organizmy państwowe, utuczone krzywdą i niewolą narodów. Zmartwychwstawały dawno zabite, otrzymywały głos, skazane na wieczyste milczenie.

Przed wojną w samym środku Europy, pozornie spokojnej, rozwijającej cywilizację, naukę, sztukę, był grób, grób jednego z największych i najświetniejszych narodów, zamordowanego zbrodniczo i służącego za pastwę, za żer, nad którym rozwijała się potęga i siła morderców.

Europa dziesiątki lat przymykała oczy na zbrodnię i pamięć tego narodu wymazywała usilnie z ksiąg swego żywota.

Aż rozpętała się wojna. Jeden z morderców rzucił się na drugiego,

zadał mu cios śmiertelny, a potem legł sam pod naciskiem koalicji Zachodu. I stało się, że natychmiast grób ten pękł i wyszedł zeń naród żywy i do życia zdolny, i odrazu błyskiem starej szablicy zaświecił w oczy matce — Europie.

A obok rozsypywała się w proch niezdolna do życia w nowych warunkach Austria; nad skrwawionymi niwami rozlegał się dziękczynny chór z pod jarzma Rosji, Austrii i Niemiec wyzwolonych narodów.

Zaraza wyzwolenia, zaraza sprawiedliwości szła dalej, sięgała do obozu zwycięzców; zmuszała do dania Irlandji niemal niepodległości; budziła z wiekowej niemocy olbrzyma Indji.

Proces ten, niewątpliwie nieukończony jeszcze, nie mógłby się być rozpocząć nawet, gdyby burza wojenna nie rozbiła w proch potężnych dotąd i nie wyzwoliła słabych!.

Dlatego wiekopomnym będzie dzień 30 lipca 1914 r.

Wielka ta wojna była nadto największą rewolucją świata, nie tylko dlatego, że zrealizowała od razu, jednym tchem postulaty demokracji, o które w innych warunkach toczyłby ona musiała przez całe lata i wieki długie uporczywe walki, nie tylko dlatego, że ustaliła niemal wszędzie zasadę powszechnego głosowania, ośmiogodzinne dnia pracy, ochronę pracy i jej zabezpieczenie, że dała równouprawnienie polityczne kobietom niemal już wszystkich krajów, nie dlatego wreszcie, że tam, gdzie najcięższe od wielu stuleci popełniano zbrodnie przeciw prawom człowieka — wywołała najmściwszy, najkrwawszy, najbardziej krańcowy ze wszystkich przewrotów świata — ale i przede wszystkim dlatego, że wydała, jako protest obrażonego poczucia ludzkości — rewolucję sumień.

Czternaście punktów Wilsona, idea trybunałów międzynarodowych, paktów gwarancyjnych i t. d. i t. d. — to jest właściwy brzask nowego dnia ludzkości.

Wschodzi on wśród chmur — zaprzeczają mu realności wszystkie duchy stare, wychowane w pogańskiej religii „siły przed prawem”. Prostą linię wielkiej idei krzywią wszystkie złe moce, wszystkie egoizmy państwowe i narodowe. Ona jednak toruje sobie drogę poprzez wszystkie zawady i przeszkody. I w tem jest drugie zadośćuczynienie dla Polski.

Idea ta na naszym zrodziła się gruncie. Realizowaliśmy ją w naszej dziejowej przeszłości. Uświadomiła się i nabrała wspaniałych barw życia w wielkich duszach naszych wieszczów, przyświecała rycerzom i męczennikom polskim, co za cudzą walczyli wolność i za cudze umierali zbawienie.

Dziś przed narodem naszym otwiera się wielkie zadanie: zaszczepienia całej ludzkości idei, że nie siła, a poczucie sprawiedliwości roz-

MARJA JEHANNE HR. WIEŁOPOLSKA.

Jak silnie przeczuwały serca wojnę! Jakże się wszystko skupiało, gotowało, organizowało, choć de facto niczego konkretnego o wojnie nikt nie wiedział. Dyplomacja milczała tajemnicza, jak zwykle, prasa plotkowała, a mimo to wrzało w sercach od wiosny roku 1912 bezprzestannie.

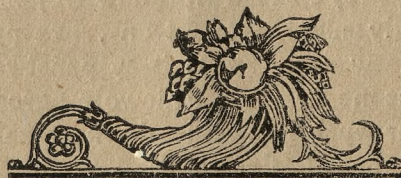
strzygać winno w stosunkach międzynarodowych, nie siła, a sumienie!

Kobieta polska, przed którą stoi dziś otworem wielka dziedzina akcji politycznej, myśli tej, daleko żywszej, głębszej, szersze ogarniającej kręgi, niż doktrynerski pacyfizm, stać się powinna najentuzjastyczniejszą pionierką.

W niej jednej jest zorza istotnego odrodzenia ludzkości.

Było w duszach kobiet polskich silne przecucie zbliżającej się wielkiej chwili dziejowej. Ujawniało się ono na cały szereg lat przed wojną gorączkowym tętnem t. zw. pracy społecznej polegającej na oświeceniu mas ludowych, uświadamianiu ich narodem, politycznym i społecznym, na nawiązywaniu nici z państwową tradycją Polski, budzeniu instynktów państwowych, zamarłych i zagłuszonych przez ciężącą nad nami państwowość obcą. W tej akcji doprawdy magna pars stanowił udział kobiety.

A w przededniu już nadchodzącego orkanu pogarnęły się one do drużyn i związków strzeleckich, do Polskiej organizacji wojskowej — już z marzeniem w duszy o czynie wojennym, czynie wyzwoleniczym. Nazwiska tych pierwszych „jaskółek burzy”, latających nad pogrążoną jeszcze w śnie mogilnym Polską, znajdują czytelniczki w całym szeregu wspomnień z owych czasów, które zamierzamy drukować niebawem.



G A R D A

Wyrazem tych uczuć i przecuć były coraz liczniejsze i znamiennejsze odczyty, coraz gorętsze nawoływania do pracy. W innych dzielnicach Polski zapewne tak samo, jak u nas, w Małopolsce, nikogo wojna nie zaskoczyła, byliśmy przygotowani na nią, każdy na swoim „terenie”

Tu przypomnimy jeszcze inną organizację, która powstała na rok przed wojną.

Była to znana później „Liga Kobiet Polskich Pogotowia Wojennego”. Zawiązana w Warszawie, w kwietniu 1913 r., wciągnęła w siebie wszystkie kobiece żywioły niepodległościowe, bez różnicy zabarwienia społecznego. Miała ona w sobie i przez długi czas zdołała zachować tę ideę konsolidacji wszystkich kierunków i odcieni politycznych wobec nadchodzącego wielkiego dnia dziejowego, do której, niestety, całe społeczeństwo polskie nie okazało się zdolnym.

„Liga Kob. Pol. Pog. Woj.” postawiła sobie na razie za zadanie przygotowania opinii do wypadków, które nadejść miały. Jak silne były w niej przecucia niedalekiej przyszłości, świadczy choćby fakt, że nielegalnie wydana przez nią w Warszawie w 1913 r. broszurka uświadamiająca, nosiła już tytuł: „Do Legionów”! Ale ponad pracę przygotowawczą wybijało się już wówczas dążenie do wzięcia czynnego udziału w przewidywanej walce, czy to w charakterze sił pomocniczych, czy też nawet bezpośrednio walczących na froncie.

Aspiracje te kobiet polskich, urzeczywistnione potem, jako praca pomocnicza przez niezliczone Koła Ligi, albo zrealizowane przez bohaterskie jednostki w walkach z wrogiem, a osiągające punkt kulminacyjny w oddzielnej wojskowej formacji kobiecej — dały kobiecie polskiej już ostatecznie niezaprzeczone prawo do decydowania o losach, ustawach i rządach Ojczyzny.

Dziś, gdy coraz lepiej, coraz jaśniej rozumieć zaczynamy, to dzieściolecie przedziwne, które mamy właśnie za sobą, otwierają się nam też oczy na zadania przyszłości i na tę zgoła niepowседневną rolę, jaką w rozwoju życia dziejowego ludzkości odegrać musi kobieta.

Do roli tej trzeba nam się przygotowywać jaknajśpieszej.

(Odczyt, wygłoszony w czerwcu 1914 r. w sali Towarzystwa Geograficznego [w Krakowie].)

i każdy przy swoim sztandarze politycznym. Zaskoczyła nas tylko jej rozwlekłość i niesłychana dla nas łaskawość losów.

Wśród szeregu odczytów, wygłoszonych w roku 1914 przed samą mobilizacją przez Tadeusza Micińskiego, Juljusza Kaden-Bandrowskiego i prze-

ze mnie, po rozmaitych miastach Małopolski, charakterystyczny szczególnie był jeden, wyraźnie do boju nawołujący. I właśnie przez tą swoją bojowniczość jest, uważam, dokumentem. Świadczy, jak dobrze orjentowaliśmy się w Małopolsce i nie przesypiali dziejowych momentów. Wygłosiłam go w czerwcu 1914 w sali Towarzystwa Geograficznego w Krakowie—a w miesiąc później wybuchła wojna.

I.

W gwardji dożów weneckich służyli niewolnicy: esclawoni. Nazwa ich oreża: schiavone, pochodziła od słowa: sclavone.

Typ owego miecza długo się tułał w zapasach i bojach Europy.

Garda tych mieczów była powikłana i jak bluszcz się okręcająca dookoła chropawej dłoni wojownika. Cienkie, błyszczące żyły jelca, wygięte mocną, a pieściwą linią, obejmowały preżnie całą rękę i zasłaniały ją od cięć, aby ta ręka szabli nie wypuściła, gdy padnie cios nieprzewidziany.

Miecz był prosty, obosieczny, niewymyślnie bijący wroga — ot, jak bije cep na klepisku jare zboże. Tylko ta garda pisała na nim swoje niepożeszne, a chrobre zadanie.

Niewolniczo spleciona w ochronny węzeł, broniła ręki wojownika, będąc mu niedostrzegalną, ale i nieodzowną pomocą w boju: wierny kwiat rycerski o łodydze stalowej: maska niewzruszona na żylastej, okrutnej dłoni.

Słońce grało pobieżnie na jej gibkim pałaku—krew nieraz spływała po jej zalotnej powierzchni wielkimi grochami rubinów.

Nie szczybiła się ona. Nie zalamywała.

Wierna była garda dłoni wojownika, wierniejsza nieraz, niż klinga, która pękała bywało od ciosów, która zębem fatalnym się obrzucała, która traciła ostrze i stawała się często jako nic nieznacząca ozdoba w sali rycerskiej, na ścianie.

W dobytku mężów ongiś, kobieta była tą gardą. Owijała się, jak bezwolny powój, dookoła ich rąk, dookoła posągu domowego władcy, jego chęć, jego prac, jego fantazji, jego bohaterskich lub awanturnicznych zabiegów. Była gardą dla tak zwanego ogniska jego, dla jego majątku i—co ważniejsze — dla jego własnych cnót rycerskich i dla cnót jego synów. Sława jednakże przyrosła nie do niej, nie do tej gardy, która moc szponu walczącego osłaniała—z której szła tężyzna i trwałość w błękitną stal ostrza, niby z serca rozbiegająca się po żyłach krew.

Zdawało się mężom, że domu strzeże potęga ICH IMIENIA, że idee ich przekazuje synowi ICH pamięć, ICH przykład, że są tylko ONI i nic, tylko ONI, że wagę ma tylko klinga miecza, nie zaś garda — wiadomo! ozdoba nikła i wiotka. Tak się utarło.

Parując cięcie, nieraz dostrzegł wojownik, że gdyby nie garda, byłaby się ręka na wieki stała niezdołną do walki w wicherze zdradzieckich ciosów przeciwnika, lecz kładł on to na karb własnej zwinności i nieposzlakowanej wiedzy szermierskiej.

Z cichych, zalękłych ulów francymeru, dokładnie przez mężów od świata deskami odgradzonych, podnosiły się jednakże od czasu do czasu delikatne, sprężyste palce, zaciśnięte dookoła miecza i wiodły tychże mężów do boju, w niczem im nie ustępując.

Powiodła naprzykład lud francuski monarchiczny Joanna d'Arc. Powiodła lud francuski republikański Théroigne de Méricourt. Zawróciła Francję z drogi ślepego terroru—Charlotte Corday. W Rosji niejedna Zofja Perowska uczyła bojowników, jak się zabija tyranów i jak ginie dla sprawy, niejedna Wiera Figner, Katarzyna Ismajłowicz, Zofja Ragozinnikow, Marja Spirydonówna, Tatiana Leontiew, Zenejda Konoplannikow, Marusia Benewskaja, Helena Iwanowa etc.

W Polsce była Chrzanowska i Emilja Plater, i Pustowojtówna, aż do Dobrowolskiej i Piotrowiczowej.

Lecz to wszystko było nazwane szaleństwem, wybrykiem natury, anomalją, a tylko w wypadku specjalnej łaskowości mówiło się: „okazała ona iście MĘSKIE bohaterstwo...”

Ano tak! bohaterstwo mogło być tylko „mężkie”, boć laury i wawrzyny rozdawał tylko... mężczyzna.

Wieść o amazonkach zaginęła. Wściekle, niepokonane wojowniczkę Kapadocji stały się mytem, który podziwiamy na obrazach i rzeźbach, z niedowierzającym uśmiechem lekceważenia tak mniej więcej, jak patrzamy na człowieka, polykającego noże i widelce.

W XIX wieku klasyczna wieść ożyła, ominąwszy Europę. Oto król Dahomejski, Gezu, formuje pułki kobiece, bo nie wierzy własnym, dotychczasowym wojownikom. Mianuje

je agolodzami, to jest obywatelkami wolnymi, przed którymi ma schodzić z drogi każdy inny obywatel państwa. Dziesięć tysięcy tych wiragos staje do walki gotowych, muskularnych, sprawniejszych i okrutniejszych w boju, niżli wszystkie dawne szeregi. Ciało ich męźniej w częstem ćwiczeniu bojowym, ręce i nogi nabywają sprężystości niebywalej, a wrodzona zgrabność niewieścia, wytrzymałość na ból i wrodzony spryt—czynią z nich armję niezwalczoną.

Najwytrawniejszy wojownik dahomejski potrzebuje 50 sekund do nabicia karabinu, dahomejka potrzebuje sekund 30...

W czasie kampanji francusko-dahomejskiej w r. 1891—94, wprawia czarna amazońska w zachwyty swoją zręcznością, chytryością, cierpliwem okrucieństwem i niecierpliwem bohaterstwem. Podniesiona do godności obywatelki kraju, w chwili, kiedy ten kraj drży w posadach, staje się ona odrazu, w pierwszej generacji podporzą państwa i straszakiem wrogów. Idzie zamąż, rodzi dzieci, a gdy kraj woła do szeregów, oddaje dzieci tym, które walczyć nie mogą, a sama rusza do boju, niedościgniona, zwinna, żywiołowa, jak huragan, karna, jak napoljoński żołnierz.

Było to akuratnie w sto lat po Wielkiej Rewolucji. Akurat sto lat temu budziła się Francja z gronostajowego, koronkowego, brokatowego snu Wersalów, w którym króle hulali.

Jak zwykle w przełomowych chwilach, kiedy idea jedna zwycięża drugą i w starciu stają się obie krańcowe i bezwzględne, tak i w tym momencie dziejowym, a idea republikańska wyniosła na spienionym swoim grzbiecie teror Robespierrow i Maratów.

Montagnardy, wywalczywszy drogę Republice, położyły się w końcu krwawą tamą na drodze dalszego jej rozwoju. Zamiast Marsyljanki, grał skrzyp gilotyn do tańca temu, co było tańcem Wolności. Na marginesie Deklaracji Praw Człowieka, jęła zbrodnia chyżo pisać cyrografy, straszniejsze niż te, które były od początku świata deklaracją bezprawia ludzkiego. Marat rzucał pod nóż setki, tysiące głów, aby się nakarmiła infantka ludowej dynastji: Republika. Zażądał 40.000 głów na posiedzeniu Komuny w 92-im, a w sześć tygodni później żąda ich już 260.000 i samego siebie proponuje na kata.

Bezwątpienia, że gdyby nie Marat byłaby Republika francuska do dziś jeszcze zmagala grandów wersalskich i pretendentów do tronu burbońskiego, ale i to pewne, że gdyby nie Charlotta Corday, byłaby się idea republikańska, francuska przetworzyła w bandytyzm i ohyde.



RYCERKI POLSKIE

I

Twojam, wodzu — kochanku! niech się pieni życie
Bujną, wściekłą kaskadą przez śmierci krawędzie —
Dumna swoim szaleństwem, upojna w rozkwicie,
Lwia pierś moja niech tobie czarą mocy będzie —

Strzał! drugi... słyszysz? alarm! „Stój, jeszcze przez
[chwilę...”

Nie! Dziś szal się rozkoszy z szalem boju splecie!
Zamęt szat... pośpiech szczęścia... i bogactwa tyle —
Broń... daj usta! raz, może ostatni na świecie!

W noc, prutą błyskiem palby, biegniemy oboje.
W burzy śmiechu radosnej, na okopy wroga —
Bo dziś za całe wojsko starczy męstwo twoje,
A jam równa ci, dana przez wojnę i Boga!

II

Przechowajże mi wiernie, cierpliwa pamięci,
Obraz onej dziewczyny-rycerki wysnionej:
Wyraz oczu, co mają uczeni i święci,
Mądry, smutny, odważny, spokojnie skupiony.

Delikatny półśmiejch, tak dziecięco miły,
Gest, którym salutuje szarża na ulicy —
Tak nieznacznie się oto w jeden ruch stopiły
Męski honor żołnierza i godność dziewczycy.

O, sny dawne! jam mogła pójść tą samą drogą,
Jeno miłość splątała w węzeł me ścieżyny —
I dziś nie wiem, czy siebie to widzę, czy kogo,
Przez lzy patrząc na postać rycerki-dziewczyny.

III

Dziwne natchnienia z falą czasu płyną —
Czemże mi jesteś, rycerska dziewczyno?
Siostrą czy córką? muzą? przyjacielem?

To nie to jeszcze... serce mi topoce
Na myśl, czającą się w bezsenne noce,
Że Twoja głowa dla kul będzie celem!

Twa głowa—cudny żywy kształt marzenia,
Bronz oczu, który się w złoto przemienia,
Gdy słońce zajrzy w ich smutną głębinę...

Gdybyż iść z Tobą! i myśleć spokojnie,
Jak myśli żołnierz w okopach na wojnie:
„Może ty zginiesz, a może ja zginę!”

Z Tobą samowtór poszłabym na wroga
W noc ciemną, czując nad sobą moc Boga
I czysty, bratni cud Twego pobliza...

O, jakież szczęście boskie mnie omija!
Jak ciężko ciebie żegnać, ty, niczyja,
W myśli nad czołem twym kreśląc znak krzyża!

IV

Z pośród wszystkich najbardziej szalony
Ten, co młode wypieściło serce —
Sen mój złoty, mój sen o żołnierce,
Jakże późno, zapóźno spełniony!

Dawny zew mój w żywy czyn się wcielił,
W czyn młodzieńczo zuchwały i dumny:
Maszerują dziewczęce kolumny
Wśród zapalu, trudu i wesela.

Tylko jedno dawniej wrzące serce
Pod mundurem w zimny lód się zmienia...
Najsmutniejszą zmarł śmiercią — spełnienia —
Mój sen złoty, mój sen o żołnierce!

A. W.



2) ZŁOT HARCERSTWA

O wewnętrznym życiu harcerstwa żeńskiego mówiły nam nieco, przywiezione na zjazd, roboty różnych drużyn. Lwowianki przywiozły śliczne batiki, które rozsprzedały natychmiast. Częstochowianki urządziły cały „kram jasnogórski” z koronkami i haftami, Wołynianki wystawiły „świeclicę”, zdobną w barwne tkaniny, ręczniki kolorowo haftowane i t. d. i t. d., praktyczne Poznanianki założyły „słodki kącik”, gdzie przyrządzały limoniadę i wypiekały ciastka i t. p.

Mówiły nam nieco o tem życiu i urządzane w obozie zabawy. Szedł n. p. orszak weselny wielkopolanek, niosąc wystrojoną, jako pannę młodą, „bamberkę” lalkę po chłopsku ubraną i śpiewał pieśni weselne. Gdzieindziej, urządzano „sobótkę”, ze skokami przez ognisko, w innym jeszcze miejscu bosemi nóżkami tańczono na piasku jakieś wdzięczne tańce i t. d. i t. d. Wrażenie ogólne było niesłychanie miłe i radosne. Zbliżyły się z sobą, poznawały i zadzierzgały węzły sympatji rozerwane niedawno dzielnice Państwa; Ignęły pono najbardziej do siebie kresy — zachodnie i wschodnie — prawem kontrastu zapewne... ale i „kozy” lubelskie i „żmije” zgierskie i „koty łódzkie” (każda drużyna ma swoje herbowe zwierze) otaczały sympatją licznie reprezentowany Śląsk, używały gościny i opieki gościom — Łotyszkom, ucząc się na poczekaniu ich trudnego języka i t. d. i t. d.

O ile więc na przelotnie chwytanych wrażeniach polegać można, obóz harcerów w Świdrze przedstawiał same dodatnie strony organizacji i wychowywania harcerskiego. To samo i w wyższym bodaj stopniu stosuje się do organizacji męskiej.

A jednak...

Z najpoważniejszych źródeł podnoszą się głosy bardzo surowej krytyki.

Twierdzą tedy najpoważniejsi nauczyciele i nauczycielki, że jeżeli tylko uczeń lub uczennica okazywać zaczyna zaniedbanie w naukach, powstaje natychmiast na radzie pedagogicznej pytanie, zali nie zapisał się lub nie zapisała się do harcerstwa?... I wynik przeprowadzonych dochodzeń prawie zawsze wskazuje na harcerstwo, jako przyczynę złych stopni.

A nie tak pono bywało za owych czasów, gdy organizacje harcerskie istniały w Królestwie nielegalnie, konspiracyjnie. Wówczas złych, stale zaniedbywających się w pracy szkolnej, uczniów wydalano z harcerstwa. Dziś źli uczniowie, jak twierdzą pedagogowie, są niejako premjowani przez organizację harcerską: otrzymują wysokie godności i stopnie.

Mówią nadto nauczyciele i rodzice, że wytwarza się wśród zapalonych harcerzy i harcerek dziwne przeświadczenia, jakoby jedynie nakazów organizacji harcerskiej słuchać należało, a w razie kolizji tychże z nakazami szkoły lub domu rodzinnego, wyższy autorytet miała w każdym wypadku organizacja.

Mówią także, że w młodocianych dygnitarzach i dygnitarkach harcerskich wyrabia się wada zarozumiałości i przyzwyczajenie do rozkazywania, przechodzące wprost w despotyczne narzucanie swojej woli.

Nie najbagatelniejszym wreszcie jest zarzut, iż stronę etyczną wychowania harcerskiego podporządkowano w ostatnich czasach całkowicie dążeniu do wyrabiania tężyzny fizycznej, wyćwiczenia sportowego; cnoty harcerskie jakoby nie są przestrze-

gane dość ściśle, a nawet praktyka życia przedstawiać ma podobno obraz, zgoła przeciwne zasadom wychowania harcerskiego.

Dochodzi do tego, że rodzice, bardzo troskliwie wychowujący dzieci, zabraniają im wprost należenia do harcerstwa. Wśród pilnych uczniów harcerz nie jest już dziś bynajmniej wzorem; przeciwnie, opinia prymusów szkolnych utożsamia harcerstwo z nieucztwem, z rozwojem mięśni kosztem inteligencji i wyższego rozwoju duchowego.

Wszystkie zarzuty powyższe przytaczamy tu, nie w zamiarze szkolenia harcerstwa, którego idee zasadniczą uważamy wprost za zbawczy czynnik narodowego odrodzenia, lecz dla wywołania dyskusji w tym niesłychanie ważnym przedmiocie dla zdobycia wyjaśnień, które pozwoliłyby zorientować się społeczeństwu, a może i władzom harcerstwa także w czem tkwią niedomagania, wskazane powyżej, jaka doza słuszności mieści się w stawianych bardzo powszechnie zarzutach. Wiemy, że władze harcerskie wskazują na dom, jako najczęściej za źródło złych przykładów, braku porządnej organizacji życia i t. d. i t. d. Odpowiedź taka jednak za ledwo w nieznacznym procencie wypadków może mieć pewną rację za sobą. W innych rozmią się całkiem z rzeczywistością.

Pragnąc gorąco rozwoju harcerstwa na zdrowych podstawach, sądzimy, że nie należy dać się uwodzić zewnętrznym pięknym pozorom, że trzeba sięgnąć do głębi, do samej treści życia organizacji harcerskiej i wytworzyć sobie o niej jaknajdokładniejsze pojęcia.

H . . . a

ROZMYŚLANIA WAKACYJNE

II.

Pisząc ostatnio o dwóch typach nauczycieli, a raczej o dwóch typach ich stosunku do młodzieży, nie chciałam przeto wyrazić, że są to typy wyłączone, że niema wyjątków. Każdy, kto zna stosunki szkolne, przyzna mi jednak, że te dwie odmiany krańcowe ilościowo przeważają.

Jest to zjawisko bardzo charakterystyczne. W innych dziedzinach myśli i pracy ludzkiej obserwować można podobne objawy: w nauce, w polityce, w sztuce, i t. d. I rzecz dziwna! Od dawien dawna ludzkość wykazuje w praktyce wielką skłonność do krańcowości, choć równocześnie teoretycznie chwali i zaleca umiarkowanie. Znana jest piękna pochwała dla umiarkowania, wygło-

szona przed tylu laty jeszcze przez Eurypidesa, znana owa sławna „aurea mediocritas” (złoty środek) Horacego, znane wreszcie uznanie i nacisk, jaki na tę cnotę kładli stoicy. Ma się wrażenie, jakoby ten „złoty środek” był jakimś miejscem zaczerpniętym, którego osiągnąć nie można, że gra on z nami wiecznie w ciuciubabkę albo pędząc przed nami, albo dając się nagle przez nas wyprzedzić — nigdy złapać.

Takie rozmyślenia snują mi się po głowie, gdy zastanawiam się nad tem, dlaczego tak trudno u nas o ten najodpowiedniejszy stosunek nauczycieli do młodzieży. Właściwie to nie u nas tylko, a wszędzie mniej więcej podobne panują stosunki, wszędzie ścierają się te dwa skrajne kierunki: zwolennicy bezwzględnej karności

i zwolennicy wybujałego indywidualizmu.

Przyczyna może leży w tem, co Dewey nazywa brakiem życia społecznego w szkole. Tak, szkoła powinna istotnie być pewnym naturalnym ogniskiem życia społecznego, tymczasem charakteru tego bynajmniej nie posiada. Życie szkolne jest luźne, sztuczne, nie ma tego głębszego spoidła, tych silniejszych węzłów, któreby czyniły z niej zwartą całość.

Jak to osiągnąć?

Dewey radzi wprowadzić do szkoły pracę fizyczną, ale w takiej formie i w takich rozmiarach, że mam duże wątpliwości, czy się to da przeprowadzić w szkołach z normalnie dużą ilością dzieci i z równie, niestety, normalnie nieodpowiednimi urządzeniami.

Próbowano i u nas — i wciąż się próbuje rozwiązać tę kwestję — t. zn. wprowadzić atmosferę życia społecznego do szkoły — w rozmaity sposób: harcerstwo, gminy szkolne, ostatnio ćwiczenia fizyczne i zawody w zabawach ruchowych, urządzanych wspólnie dla rozmaitych szkół każdego okręgu. Każda ze wspomnianych prób ma naturalnie swoje zalety i wady, których omawianie wymagałoby osobnego traktowania; każda wykazuje rozmaite słabe strony, zwłaszcza tam, gdzie wpada w sztuczność i przesadę.

W każdym razie żadna z nich dotychczas sprawy życia społecznego w szkole nie rozwiązała. Życie szkolne jest martwe, brak mu tego zdrowego, naturalnego pulsu, który powstać może tylko na tle wspólnej pracy i wspólnych interesów życia praktycznego. Nauka sama dać tego nie potrafi. Jest rzeczą wprost nie do wiary, jak nauczyciele i uczniowie, stykając się ze sobą codziennie przez szereg lat, mogą zostać dla siebie tak obojętni! Żyją obok siebie, ale nic o sobie nie wiedzą: ani o swoich chęciach i dążeniach, ani o swoich smutkach i radościach.

Niedawno miałam charakterystyczną pod tym względem rozmowę ze znajomym nauczycielem szkół średnich: „Nie znoszę egzaminowania” — mówił znajomy — „lubię tylko uczyć”. „Naturalnie”, — powiadam — „egzaminowanie jest nudne i męczące, bo nieproduktywne. Gdyby klasy były mniej liczne, możnaby w ciągu nauki mieć taki kontakt z uczniami, ciągle ich pytać i poznać ich poziom rozwoju, że oficjalne egzaminowanie byłoby niepotrzebne”. „Ależ ja wogóle nie chcę ich pytać! Nie jestem wcale ciekawy, co oni (uczniowie) myślą” — oświadczył z miłą lekceważącą rozmówca.

Ciekawe i znamienne oświadczenie, ciekawy, ale, niestety, nieodo-

sobniony stosunek do uczniów! W takich słowach mieści się coś więcej, niż obojętność. Tacy nauczyciele właściwie nie powinni uczyć. Inna rzecz, że wobec przepracowania szkół i wobec przepracowania nauczycieli i przy najlepszych chęciach niewiele można zrobić. Wiem, że wielu nauczycieli odczuwa tę anomalję. Bo jakże w tych warunkach wpływać i kierować wychowaniem, jak stać się mistrzem życia młodzieży, z którą się nie współżyje. Pogadanki i wspólne spacerowanie nie mogą tego wytworzyć: znowu ton oficjalny, znowu atmosfera bezosobista, znowu zupełne oderwanie od życia praktycznego. Są to tylko inne formy nauczania, a nie istotnego współżycia.

Zbliżyć się i żyć można tylko w życiu realnym, codziennym, w dzieleniu wspólnych potrzeb i trosk. Potwierdzą to bezsprzecznie ci nauczyciele, którzy mieli sposobność brać udział choćby w kilkudniowych wycieczkach szkolnych. Już takie zdobywanie kwater, prowiantów, środków lokomocji i t. p. wykazuje, czem stać się może wspólna praca dla wspólnych celów — choćby w tak małym zakresie. Minimalny ten okres czasu już wystarczy, aby zadzierzgnąć serdeczne węzły. A gdyby tak dłuższe wspólne pobyty wakacyjne, gdyby wspólne pracownie, warsztaty mechaniczne, uprawa ogrodu szkolnego i t. p.?

Wspaniałe przykłady i wzory w tym kierunku dał nam znakomity pedagog i równie znakomity działacz społeczny, murzyn Booker T. Washington. Zasady pedagogiczne, stosowane w jego „państwie szkolnym” w Tuskegee (w południowej części Stanów Zjednoczonych), zarówno pod względem organizacji, jak zwłaszcza pod względem ideowym, są nam o wiele bliższe, niż, na przykład, zasady wychowawcze Dewey'a. Dewey jest

bezsprzecznie dzielnym pedagogiem i doskonale zna charakter i potrzeby swojego narodu. Inna rzecz, czy jego system szkolny, wypróbowany narazie tylko w szkole doświadczalnej przy uniwersytecie w Chicago — a więc w warunkach specjalnie dobranych — da się przeprowadzić wszędzie t. zn. w zwyczajnych warunkach i przy normalnie wielkiej ilości uczniów. Ale abstrahując od trudności techniczno-praktycznych jego systemu w naszych warunkach, trzeba przedewszystkiem podkreślić pewne różnice w zapatrywaniach zasadniczych, ideowych.

Ta jego bezwzględna niwelacja społeczna i niedoceniając walorów rozwoju indywidualnego, to wyłączenie uwielbienie dla praktycznych stron życia, z pominięciem znaczenia idei i bohaterstwa w wychowaniu — nie odpowiadają właściwościom duchowym naszego narodu.

W najmniejszym prostaczku naszym, mówi St. Szczepanowski, drzemie potrzeba bohaterstwa. O tem pamiętać i z tem się liczyć powinni nasi wychowawcy.

Nieśmiertelny Washington dał nam nie tylko przykład szczytnych ideałów i poświęcenia dla swojego narodu, który ze stanu głębokiego niewolnictwa wydzwignął na poziom kultury współczesnej, ale podał zarazem najlepszy i jedynie skuteczny sposób zrealizowania typu szkoły pracy o charakterze naprawdę społecznym.

Że w świecie naukowo-pedagogicznym większym rozgłosem cieszył się prof. Dewey, niż murzyn Washington, to rzecz zupełnie zrozumiała. Washington nie był profesorem uniwersytetu, nie pisał książek naukowych — a tytuły i książki więcej imponują i ciągle jeszcze skuteczniej zdobywają sławę, niż ciche, choć potężne czyny.

c. d. n.).

K. S.

11)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

„DUCH

Za moich młodych dni, za życia przeczuwałem was, bogi, ojczystych źródeł i pól... To wy brałyście oczy i serce moje, wy śmiałyście się w złoty promieniach słońca, wy smęciłyście tak we mgłach. To wy, wy... jesteście zaklętym czarem mojej ojczyzny!... Gdy na pola śmierci szedł, wy cichem pluskaniem wiosennych dżdżów płakałyście nade mną... A teraz ja, niby jeden z was — upiór, wicher, ogień błędny!

— Co za szaleństwo! — woła w myśli panna Anna. Odrzuca kajet i chodzi niecierpliwie po pokoju. „Ona ma szaleństwo we krwi” przypomniała

słowa pani domu. W tem jest coś prawdy! Jest! Jest!

Osobliwością zjawiska bądź co bądź zaintrygowana, wraca do zeszytu.

A tam istotnie szaleństwo w całej pełni!

Duchy tworów otaczają „powstańca”. Boginka siklawy górskiej ściele mu się do stóp i mówi:

„Pereł moich dam ci blaski wstęg srebrzystych czar...”

BŁĘDNY OGNIEK

Fantastyczne węz obrazki ze skarbnicy baśni starej, niech w ciemnicy błysnie żar; korowody białych mar

ukażą się i przygasną; węz ognika czar...

WIETRZYK

Weż wiosny tchnienie rozwiewne, różanych pąków woń, po błoniu nieś poszumy śpiewne i dzwoń... jak harfa dzwoń... wiosny swobodnym tchnieniem.

MGLY

Szaty ci damy z mgieł tkane, siostry Wici cichy lot... woła twoją wywołane staną nagle kształty mar, wstaną dawnych widma rot — dawnych bojów i krwi czar, jak mgła spłynie na ziemię uspioną.

ECHA

Nas echa ciche weź!
odgłosy strzałów,
powstańczych strzałów
w pustkę i nicosć nieś...
weź echa leśne...
weź pieśni echa,
pieśni z minionych lat;
niech po porannej w dal płyną rosie
niech po jesiennym niosą się
[wrzosie,
niech dawny wstaje świat...

WICHER PÓLNOCNY

Weź jęk żaloszny sybirskich pól,
weź wichrów wycie!
niech płynie jęk,
Niech płynie ból,
niech kwiatów ścina życie,
niech wyje wiher,
niech płacze ból
w noc rozpaczy nad ziemią uspioną*.

„Duch“ odrzuca wszystkie te dary i bierze na się kształt wicherowego tumanu, błędnego wiru, co samotny, przeklęty hula po pustkach piaszczystych. Z tumanu woła dzikim głosem:

„W tumanie błyska moja twarz!
Ja byłem wasz, ja byłem wasz!
dzisiaj lecę wicheru tumanem!
ostatni raz;
ostatni raz
z pod szubienicy zęgnąłem was,
dzisiaj lecę wicheru tumanem“.

Bóstwa wszystkie rozstępują się przed wirum błędnym i mówią w przerażeniu:

„Wziął tumanu dziki ruch,
na pola Polski leci duch
szaleńczych burz“...

— Opętana! Opętana! — zawołała w głos panna Anna.

Potem, uspokoiwszy się, zaczęła na chłodno rozważać:

I po co ludzie piszą takie rzeczy?! Skąd im to przychodzi do głowy? Czy to właśnie jest ta poezja? To dzikie dziecko będzie widać poetką... Nigdy w Polsce z poezją skończyć nie możemy! — Trzeba stwierdzić, — rozmyślała dalej, — że te rzeczy robią wrażenia. Nawet ona sama, czytając to dziwactwo, pewnego wrażenia doznała! Jest w takich, niezgodnych z rzeczywistością bezsensach jakaś niepojęta siła. To wrzusza, niepokoi, nawet działa fizycznie. Panna Anna obserwuje na sobie przyspieszone bicie tętna i myśli: czyżby to, co nazywają duszą, było naprawdę czemś więcej, niż wydzieliną materji, czemś od materji różnym, czemś istniejącem poza nią, bo na tę materję — właśnie oddziaływać mogącym?... Po chwili odrzuca z lekceważeniem te, atawistycznie przyrosłe do mózgu, przeżytki poglądów, niezgodnych z kanonami wiedzy współczesnej i, uspokojona już, kładzie się spać.

Nazajutrz miała panna Anna długą rozmowę z Wandą. Poprowa-

dziła ją do ogrodu i kazała sobie raz jeszcze odczytać niewyraźnie napisane ćwiczenie.

— Co to znaczy „Wieja“? Takiego wyrazu niema w polskim języku.

— To my — odrzekła, śmiejąc się, dziewczynka — to my tak nazywamy mgielkę taką, wie pani, najniklejszą, którą wiatr rozwiewa. Ja pani kiedy pokażę tę wieję.

Panna Anna ruszyła ramionami. Jako wychowana w mieście, nie różniała mgielek. Obecnie zupełnie było jej braterstwo z przyrodą.

Gdy doszły do owego „tumanu“, spytała nauczycielka:

— Skąd ci to przyszło do głowy, powiedz!

— Widzi pani, ja raz cały dzień latałam za tymi tumanami. Najwięcej kręciło ich się tam, na wydmie pod lasem. I tak mnie coś ogarnęło, że kręciłam się razem z nimi; wicher tak szumiał dziko, tak szalał... aż w jednej chwili spojrzałam, widzę...

— Co widzisz?

— Twarz... w tumanie...

— Wyobraziłaś sobie?

— A nie! Tamto, reszta — to wyobrażenia; ale tę twarz ja widziałam naprawdę.

Panna Anna się oburzyła.

— Moje dziecko, strzeż się wmyślać w siebie takie niedorzeczności! To może przejść w chorobę, rozumiesz, ciężką chorobę nerwową albo umysłową. Halucynacje, wizje — to w tobie rzecz wprost przerażająca!

— Eh, rzekła niedbale Wanda, to nie halucynacje, tylko takie rzeczy, o których ludzie nie chcą mówić, choć wszyscy dobrze o nich wiedzą.

— Nie rozumiem, o czym ty mówisz?

— Wszystko ma duszę — we wszystkim żyją duchy — cóż dziwnego, że czasem pokażą swoją twarz... Każdy widzi je czasem, albo słyszy, albo odczuwa, tylko... nie przyznaje się do tego, a nawet często sam myśli, że mu się tylko zdawało, ale niech pani spyta ludzi prostych, dzieci... zaraz powiedzą...

— W jakim ty świecie żyjesz? Wstydz się! Zabobony chłopskie są dla ciebie rzeczywistością. Nie rozumiem, jak mogli cię tak wychować — pozwolić na takie rozpętanie wyobraźni... i poprostu zdziczenie...

— Proszę pani, niech pani spyta ciocię (Wandia tak ostatecznie nazywała p. Ewelinę), czy słyszy w letnie ranki, przed świtem rąbanie drzewa, takie głuche, uparte tam, od tych pagórków pod lasem, rąbanie siekierą... a zobaczy pani, jak zblednie i prze-

rażona patrzeć będzie na panią wielkimi oczami, ale powie, że nie... Ona też słyszy, ja wiem, tylko że ona się boi, a ja nie — bo czegoż się bać tych głosów, co mówią do nas tak smutno i tak się żalą...

— Dom warjatów! — zawołała mimowoli p. Anna.

Potem zaczęła mówić bardzo poważnie i bardzo szczerze; że wszystko to jest tylko poetycką fantazją, która widocznie w umyśle Wandzi jest bardzo żywa i silna. Trzeba się uczyć. Panna Anna nie zna się na poezji, zdaje jej się jednak, że Wandzia ma w tym kierunku duże zdolności i może kiedyś, gdy umysł jej dojrzeje, będzie znakomitą pisarką, jak Orzeszkowa n. p. Ale talent bez wiedzy, bez pracy i nauki — to dzikie ziele, które nigdy doskonałych owoców nie wyda... Radzi jej więc ukrócić fantazję, a wziąć się całą siłą do pracy. Na to wszystko Wanda odpowiedziała całkiem dziecinnie, że ona nie chce być żadną literatką, do Orzeszkowej ma wstręt, a wagę w jej oczach ma tylko czyn.

— Czemóż piszesz te fantastyczności?

— Eh, to było dawniej. Miałam gotowe, więc jak pani kazała napisać, co nam przyjdzie do głowy...

Jednak od tego czasu wzięła się Wanda gorliwie do nauki, ale nie w tym celu, by zostać drugą Orzeszkową. Zapragnęła pokonać p. Annę własną jej bronią, poznać arsenał, z którego tamta czerpała pociski przeciw jej wierzeniom i ukochaniom. Nie pannę Annę tylko! cały ten świat, co spiełtrzał się nad jej biedną głowiną dumny, mądry, pewny siebie, zimny, bezwzględny. A poznawała go coraz lepiej z książek, które przywiozła p. Anna. Był tam i Comte, i Spencer, i Mill, i Haeckel... Przychodził pod adresem nauczycielki co niedziela „Przegląd Tygodniowy“, przepłatający propagandę „postępu“ i „pracy organicznej“ ironiczno-gorzkiemi uwagami pod adresem powstania i jego działaczy. Straszno było i coraz straszniej samotnej duszyczce czternastoletniego dziecka. Rzuciła się do czytania tego wszystkiego z właściwą jej namiętą ciekawością. Nauczycielka nie broniła. Widząc, że ma do czynienia z inteligencją wyjątkowo bujną, uznała, że można jej pozostawić pewną swobodę. Przestrzegała tylko, by Wandzia wraz z innymi dziećmi przechodziła systematycznie kurs gimnazjalny. Od p. Anny można się by dużo nauczyć. Wanda chłonoła wszystko. Historia rewolucji francuskiej, którą nauczycielka wykladała con amore, zrobiła na niej głębokie wrażenie i nie tyle rewolucja, co poprzedzający ją ferment umysłów. Encyklopedyści, negacja Boga!



ZUZANNA RABSKA

4)

DOBRY PASTERZ

N O W E L A

„Biada pasterzom, gubiącym i rozpraszać trzode pastwiska mego! mówi Pan.

„Przetoż tak mówi Pan, Bóg Izraelski, do pasterzy, którzy pasą lud mój: Wy rozpraszcacie owce moje, owszem, rozganiacie je, a nie nawiedzacie ich, oto ja nawiedzę was dla złości spraw waszych, mówi Pan”.

Dla złości spraw waszych...

Dwukrotnie powtórzyła te słowa Monika i przerażała się. Zaiste, od złych spraw aż roi się na świecie, a ona, czyż do takiej złej sprawy nie przykłada ręki? Czemże, jak nie marną zemstą, jest jej praca, jej haft misterny, który podczas procesji wzbudzi zachwyty pobożnych? Czyż dzieło, które rodzi nienawiść, może być piękne? Czyż nienawiść nie przegryza serca, jak rdza? W prochu, we włosiennicy, z biczem w ręku powinna odpokutować za swą zbrodnię!

Upadła zemdlona obok łóżka z głową, tuż przy głowie Dobrego Pasterza na krosnach.

* * *

Do izdebki późnym wieczorem wpadła zadyszana Justyna. Oczy jej rozszerzały strach. Mistrz Grzegorz był chory, bardzo chory. Gdy weszła do jego izby, już całą twarz i ręce pokryte miał krostami. Wyglądał zupełnie tak, jak Monika, gdy tylko pożerać ją zaczęła straszna gorączka. Musiała siłą przytrzymać jego ręce, bo chciał rozszarpywać nimi twarz.

Upadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. A teraz kolej na nią, napewno na nią. Może już jutro o tej porze sto igieł kluc będzie jej smagłą, delikatną skórę, przypominającą skórę brzoskwiń. O Chryste Jezu!

Upadła na kolana i modliła się żarliwie, a wtórował jej modłom bas głuchych organów, dochodzący z zaściany. Jaskółki wrzaskiem zęgały dzień, kryjąc się między setkami małych kolumnienek wysokiej katedry, tam, gdzie były przyklepione ich gniazda.

Monika milczała, leżąc na łóżku blada, jak biała róża, ze złożonymi do modlitwy rękami. Wiedziała, iż to, że był chory, sprawiła ona.

W nocy nawiedziła ją znowu święta Elżbieta, bosa, w wełnianej szacie, stąpająca podczas procesji między żebraczkami. Niosła na rękach, jak w legendzie, całe stosy cacek szklanych i zabawek dla dzieci, a gdy je upuściła, nie zbiły się. W pewnej chwili pojawiło się na jej rękach dziecko, owinięte w fioletowy atlas biskupi. Było to jej nowonarodzone dziecko. Podnosiła je wysoko w górę, aby każdy mógł je widzieć, a potem, uśmiechając się, złożyła je na

kolanach Moniki. Ciepłe, białe i tłuste było dzieciątko. Ale gdy spojrzała z bliska w jego twarz, zmartwiała z przerażenia. Twarz dzieciątka była w krostach, w czarnych, okropnych krostach, najeżonych igłami. „To twoja wina, to twoja wina”, wołała święta Elżbieta, bijąc ją po twarzy i szarpiąc za włosy. „Precz nikczemna, zabiłaś mi dzieciątko jedyne”.

Monika obudziła się nad ranem, zlaną zimnym potem. Na twarzy piekły ją razy, zadawane przez Świętą, bolała skóra na głowie od włosów targania.

Leżała cicho z zawartymi powiekami, póki nie zbudziła się Justyna.

Justyna wstała, jak chmurny dzień, przeklinając wszystko dokoła i siebie samą. Hałasowała długo garnkami, odpędziła od drzwi ślepego żebraka, pytającego o chorą, nie odpowiadała na pozdrowienie pątników, ani księży.

Monika leżała bez ruchu, wpatrując się z grozą i z głuchą radością w twarz Dobrego Pasterza.

* * *

Dnie mijały, jedno za drugim, podobne do siebie, jak drewniane perły różańca. Monika podnosiła się z łóżka, Justyna była ciągle zła i milcząca! Dusza jej nie umiała zdobyć się na smutek, który jest pokrzepieniem w boleści.

Ślepy żebrak przynosił co parę dni wieści o mistrzu Grzegorzu. Był bardzo chory i bardzo smutny. A potem nagle przychodzić zaczął do zdrowia. Było mu coraz lepiej. Wstawał. Już odbył nawet pierwszą samotną przechadzkę po starym cmentarzysku.

Tego dnia Justyna wyfrunęła z izby, jak ptak, wypuszczony na wolność, zapomniawszy złożyć swoje krosna, na których w bukietach przepysznych kwiatów haftowała Wniebowstąpienie Marji, opierającej stopy o białe obłoki.

Monika usiadła w oknie, czekając na przybycie kłeryka, który miał zabrać gotowy sztandar, już oszyty złotą frendzlą i osadzony na kiju. Kłeryk nie zjawiał się jednak.

Dzień był złoty i przezroczyty, pełen śpiewu i radości i powoli przechodził w błękitny, spokojny wieczór, skrzący gwiazdami.

Monika czekała na przybycie kłeryka, ale wiedziała, że dnia tego ujrzy nareszcie po tylu tygodniach

mistrza Grzegorza. Powiedziało jej o tem jej serce i złota cisza dnia letniego.

Jakoś przyszedł pod wieczór, wsparty na ramieniu Justyny. Oboje nieśli pęki bżów, które rozkwitły w ogródku obok katedry. Ciemna izba wypełniła się słodką wonią, ledwo weszli. Zrobiło się także jaśniej od ich uśmiechów!

Monika trzęsącymi rękami starała się zapalić lampę, ale stłukła klosz i musieli siedzieć we troje w ciemnościach. Głos mistrza Grzegorza wydawał się cichszy i smutniejszy, była w nim jakby pokora i onieśmienie, jakiego się przed tem u niego nie znało. Był inny; Monika wyraźnie to czuła, że był inny, skromniejszy i pełen pokory, jak święty z legendy.

Gdy wyszli we troje przed dom, księżyc świecił jasno między dwiema strzelistymi wieżycami katedry i bieleł ulicę. Był jak lampa, zawieszona w ciemnościach, i każdy kształt musiał iść pod panowanie jego światła.

Mistrz Grzegorz oparł się na ramieniu Justyny i obrócił twarz ku Monice.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyła go i w przerażeniu podniosła obie ręce do serca.

Twarz młodego malarza, oblana księżycowym światłem, była cała pokłóta, jak twarz Dobrego Pasterza igłą hafciarki; koło ust, na ściągłych policzkach, na czole i na skroniach widniały tych ukłóc fatalne ślady. Gdziekolwiek ciemniały małe plamki, jak kropelki krwi.

* * *

Podczas procesji Bożego Ciała, która wyszła z katedry i skierowała się w wąską uliczkę kościelną, zauważono tuż za baldachimem, pod którym postępował gruby biskup, nieznaną pątniczkę, z twarzą, osłoniętą chustą. Szła bosa, w wełnianej sukni, niosąc jakieś szklane cacka i zabawki, które rozdawała po drodze małym dzieciom.

Na czele procesji postępował zakrystjan, niosąc na wysokim kiju nowy sztandar z kremowego atlasu, na którym wyhaftowana była misternie postać Dobrego pasterza z barankiem. Twarz Pasterza różowa, jak twarz młodej dziewczyny, uśmiechała się słodko. Ludzie zęgnali się i czytali z pokorą napis na sztandarze:

„Jam jest on dobry pasterz; dobry pasterz duszę swą kładzie za owce”.

Gdy procesja przechodziła przed domkiem, w którym mieszkał mistrz Grzegorz, nieznaną pątniczkę wyrzuciła z pod chusty resztę szklanych cacek i padła bez zmysłów na ziemię.

Gdy ją ludzie podnieśli i poznali w niej cichą Monikę, już nie żyła.



4)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

Inny przykład z tego samego cyklu: „Wypiek chleba”.

Służące chleb piekły na niedzielę z najgęściejszego mleka, najprzedniejszej mąki; czoło schylone, łokieć obnażony, sterczący z rękawa, piersi dygocą, rozsadzając stanik, pot obfity skapuje w rozczyn... Ich ręce, palce, całe ciało paruje od pośpiechu. Olbrzymie pięcie mięszą rzadkie ciasto, lepiąc z niego bochny tak okrągłe, jak bochny ich ciała. Łopata po dwie bułki rzuca w czeluść pieca, a płomień, jak sfera psów warczących, wyrwywa się z jamy, skacząc prosto do oczów i w twarz kásają.

Kartki z Homera! — ale jakże oburzonym, jak osmuconym jest ten Homer: Homer bez Olimpu!...

Musimy się tutaj naprawdę zadawałniać tylko rzeczywistością — rzeczywistością, z poza liści której nie patrzą czy Dryad. Przeciwnicy chrześcijaństwa, przepisujący nam hellenizm na wszystkie dolegliwości chrześcijańskie, wśród których górować ma pono mistycyzm, zapominają widocznie, że łąka, na której pasaly trzodę te boskie „świniopasy”, miała perspektywę, wyciętą wprost na Olimp, z którego schodziła do nich bosą stopą po trawie Atena i Afrodite!... prześladowczyni czy obrońcicielka, mniejsza o to!

Człowiek jest stworzeniem tak ambitnym, że wszelki los wydaje mu się znośnym, byleby się nim interesowali niebianie!

Ta rzeczywistość pozytywistów, obcięta — która miała być zdrową i pogodną — jest tak beznadziejnie smutna! — zionie tak żrącą nudą i tak jest duszna — że poeta w niej nie wytrzyma: umrze! — lub dostanie obłędu i wyzwoli się.

Linja Verhaerenowskiej duszy skręca się w zawiły gzygzak. Verhaeren staje się znużeniem i zrozpaczeniem. Staje się dekadentem.

Oto jest wielki patetyczny smutek w obliczu gwiazdzonego nieba, w którym już nikt nie mieszka.

Liczby.

Las mię opętał liczb!...

Pęka mi czoło, uporczywie tłukące się o ich niewzruszalność. — Pnie linji, prostopadle wykwitłych z gruntu błękitnego w konarach z błyskawic. Szczyty ich więzie lanc.

Skały geometryczne powietrza, bloki przerażeni i milczenia. Tam w górzel.. miljarde rozsianych djamentów i miljarde spojrzeń — zasłony za zasłonami w nieskończoność wlokących się mgieł świetlnych na obliczu złotej Izis, marzącej na dnie najgłębszym firramentu.]

Las mię opętał liczb!

Otwieram oczy — opowiadał ich cuda! Zamykam oczy — śpiewam ich zawrotność. Oto na czarnej nocy moich myśli ich bieg okrężny, koło za kołem zatacza ogniste. Jestem zgubiony w bezdni. Mózg prześwidrowany — serce ściśnięte, — ręce opadłe, — żrenice błędne — w pośród przypadkowości przywidzeń.

Las mię opętał liczb!...

O teksty jakichś praw niezmiernie odległych! Szczątki jakichś geometrycznych światów. Porty, skąd popłynęli po drogach niezawodnych ci, co przepadli jednak, rzucani z morza na morze. Oderwane spojrzenia, gałki puste i bez powiek. Gwoździe rozżarzonego żelaza, ostrza lanc w pośród kamieni lapis lazuli.

Las mię opętał liczb!

Smutny mój mózg zużył krew swoją wszystką na krawędzi zawiłych ksiąg. W studni olśniewających mroków teksty szalone, poskręcane w węze, zwichrzają się z sobą. Ręce mi omdlały od wyciągania po przez ciemne noce z ciężarem u nich zawieszonych liczb... Padłem znużony przed niewzruszonym murem ich pewności.

Las mię opętał liczb!

A na końcu ta strofa przesmutna w swoim lakonizmie:

Powiedz mi, jak jeszcze długo? — powiedz mi dokąd?! tam, w górze.. miljarde rozsianych djamentów spojrzeń wśród miljardowych firmamentów gwiazd?! i te welony za welonami świetlnych mgieł na obliczu złotej Izis, marzącej na dnie błękitnej nieskończoności.

A teraz przychodzi sama beznadziejność:

Jak okropnie!

Jak okropnie!.. tak ciągle dookoła siebie się okręcać i związać, jak w wał skręcony całun, którego żaden kwiat nie zdoła. Okręcać się dookoła siebie i związać ciężko, załamując się wciąż na tych samych kantach i na tych samych rogach poczerńiałych i wytartych.

Jak ponuro!..

Rozwijając i znowu związać fałdy czarnego szalu i swe urazy, i swe boleści, i swe omyłki... Nic, ani jedwabnego szelestu... nic... ani fałdzistych mor... nic... tylko te ukłócia miljardowe szpil rozpalonych na ciele... Oh, ten bagaż tak ciężki... jak go dźwigają!.. jak przerzucają... aż cisną gdzieś na jakąś półkę olbrzymiego bazaru...



I czuć już w ustach cierpkie i lipkie zgnilizny... i płamy ich żrące.. co mnożą się na ciele. Rozkładać się wciąż powoli, w całunie nudy...

Być nudą, która się dookoła siebie skręca i sama w sobie, w ciemności swej zamyka, zwinięta w ciężki wał... A tymczasem: to tu, to tam tkaninę żalobną gryzie powoli robactwo żaloby.

O! jak ponuro!..

Teraz rozpacz bujnego życia, szukającego, jak się pogodzić ze śmiercią nieuniknioną:

Do klasztoru.

Marzę o życiu w żelaznym klasztorze. Postami wycieńczony, poranny wlościennicą... w ciemnych torturach ciała nareszcie całkiem zwyciężone wyłącznym żarem ducha. Ach, krzyków jego nie słyszeć już i płaczu! Stłumić instynkt ciemny, zabić rozum zdradziecki. Oh, żądam władzy i wiedzy! — I stać się panem samego siebie. I kły boleści wyłamać nareszcie. Wtedy być może w jakiś wieczór wyzwoleni spokój nicosi rozlały się we mnie tak, że bez wzruszenia słuchałbym, jak ujada, jak wściekle ujada śmierć dobrowolna.

Marzę o życiu w żelaznym klasztorze.

Świadomość, ślizgająca się na granicy obłędu:

„Absurd wyrasta, jako kwiat fatalny na czarnoziemie mózgow, serc, zmysłów”.

„Po co świat co raz nowych cudów idealny?! musimy wegetować w przyrodzeniu”.

„Chcę iść ku szaleństwu — w jego białe słońca dziwaczne, jak księżyc w południe”.

„Południe, pełne ech rozdzwonionych i ujadania psów płomiennych”. „Wyspy kwitnące na jeziorze śniegu — chmura, gdzie ptaki gnieźdzą się pod piórami wichru. Groty wieczoru ze złotą na progu ropuchą, co nieruchoma pożera kąć pejzażu”. „Dzioby czapel olbrzymio otwarte na nicość. Muszka w promieniu drgająca nieruchomie.

(Symbole nadaremności poczynają).

Słodka bezwiedza i: tik, tak — słabiotkie, spokojnej śmierci warjatorów...

Znam ja to dobrze!

Jesteśmy en plein dekadencji z całym jej aparatem stylowym. Od wzniesłego patetycznego smutku przez marazm i apatię melancholji, przez monomanję beznadziejności świadomość stacza się w obłęd.

Verhaeren przechodził chorobę umysłową, a przynajmniej jedną z tych newroz, które ślizgają się na granicy obłędu.

(c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

2) SZUKAJĄCY POCIESZENIA

N O W E L A

Lecz prowadzał je tylko z tydzień, może z dni dziesięć. Bowiem nie było jeszcze połowy lipca, gdy nagle w polu, za owcami umarł.

Dnia tego nie przyszedł z niemi na południe, i wszyscy zaraz mówili przy pojeniu:

— Co to ten Wityk nie przyszedł wcale z owcami?

Wtem zobaczyli, że owce idą. Lecz, nie szły zwykłą drogą, tylko zbliżały się ugięciem koło kuźni.

— Chtórędy on idzie? — pytali wszyscy patrząc pod słońce, ściśniętymi oczami.

Aż gdy podeszły bliżej, ujrzeni, że idą same. Wcale ich Wityk nie prowadził, ani ich też i pies nie zaganiał.

Szły same w godzinę południa, bobłakane, kołujące, czemś widać mocno przestraszone.

Zrobiło się nieprzyjemnie.

Nadszedł włodarz i dowiedzieli się, gdzie Wityk dzisiaj pasł. Poradzili, poradzili. Jedni wegnali owce, drudzy poskoczyli w to miejsce.

Los tak zdarzył, że było to między wielkimi polami pszenicy. Nikt blisko nie robił—nikt nic nie widział.

Wityk leżał wyciągnięty na wznak zaraz przy tej dojrzewającej pszenicy tak, że mu kłosa chykotały nad głową. Białe szpic siedział przy nim i łapał muchy, które zlatywały się, pijąc krople potu, jeszcze nie oschłe na złotem czole.

Pies, gdy zobaczył ludzi, podbiegł do nich, lecz zaraz wrócił do pana i znowu przy nim usiadł.

Drogą przez wieś z hukiem, roztrzaskując się na wszystkie stony, poleciał na to pole drabiniasty wóz. Ludzie byli w domu na obiedzie i wybiegli przed czworaki i wołali do siebie:

— To po Wityka pojechali.

— Po kogo?

— Po Wityka. Widzieliście? Widzieliście, jak po Wityka pojechali?

Witykowa biegła cwałem drogą naprzeciw, bez tchu.

— Zbawicielu! Zbawicielu! Zbawicielu!

Przywieźli go tedy.

Ktoś mówił, że mu jeszcze serce bije. Więc gdzie stanęli, natychmiast go na ziemię złożyli.

— Pan kazał, żeby jeden szedł do dworu po panią.

— I żeby mi eteru przynieść! Co duch mi eteru przynieść!—wołał.

— Ziemiom go przyrzucić do pól piersi.

— Ziemia wyciągnie.

— Wodom go! Wodom go!

Przybiegł kowal roztropny i umiejący. Przykładali mu z panem ucho do piersi, coś szeptali, przyskali wodą, wyciągali język, zrobili sztuczne odychanie.

— Eteru! — krzyczał pan, podnosząc głowę z nad Wityka.

Pobiegł do dworu jeden. Pobiegł drugi. Pobiegł trzeci. Pobiegli wszyscy.

Na zielonej ścianie parku ukazała się przez ten czas nauczycielka, pędząc z książką: „pomoc w nagłych wypadkach” i czytając z niej głośno.

W pokojach wśród chłodu i wonnych, ciętych kwiatów pani z panią szukały eteru, a ludzie chodzili za niemi krok w krok, chlaszcząc bosemi stopami.

Przy tej strasznej okazji wnikali wszędzie, gdzie nigdy nie byli: na górę, to na górę, do szpitalni, to do szpitalni.

Wszystko się znalazło: i eter, i amonjak; tem go tarli, to mu w nos tkali, tamto w zęby nalali.

Lecz nic już nie pomogło, gdyż Wityk już umarł na zawsze zupełnie i ostatecznie. Już nawet ciało stygło.

Wityczka i Witykowe dzieci płakały tak okropnie, jak tylko potrafią płakać ludzie prości. Po takim

płaczu jedyną ulgą, jedyną pociechą wydaje się wstąpić razem z trupem na stos śmierci.

Pan rzekł: „uspokójcie się”, gdyż tak zwykli mówić szczęśliwi do niešťczęśliwych.

Lecz Witykowa obróciła na niego twarz, zmaczaną łzami, a zęby jej wyszły na wierzch i oczy też.

Powiedziała: „żeby zaraza padła na wasze owce—co mi się przy nich zaharował”.

Aż się ludzie oburzyli, gdyż nie o pana szło, ale owce nie były winne.

— Miał chore serce, rzekli.

* * *

Mimo tak strasznej boleści Wityczka nie chciała wierzyć, że jej mąż umarł.

— To niepodobna rzecz, mówiła bez przytomności. To niepodobna rzecz.

Już wszyscy nosili tę śmierć w swych sercach, a ona nie kazała nic do pogrzebu szykować.

Nie, przeciwnie. Ciało włożyła pod pierzynę, muchy gałązką z niego oganiała i kazała dzieciom być cicho, żeby tatusia nie męczyć płakaniem, bo bardzo chory.

Chciała też księdza sprowadzić.

Więc jej to dla spokoju przyobiecali, lecz między sobą ludzie mówili, że już trup.

Jednak przez litość nad nią przychodzili i pytali, czyby się ocknął.

Odpowiadała: „ocknie się, ino się z tego ziąbu pod pierzynom zagrzeje.”

Lecz drudzy mówili ze zgrozą, żeby jej to jako przełożyć, gdyż na taki upał ciało będzie cuchło przez noc i trupi jad będzie im w łóżce szedł. I też mówili, że Wityk powinienby już być w trumnie. (c. d. n.)

KRECHOWCE

*Żołnierzu polski, prawy rycerz szczery
Ty jesteś—obce ci zdrady manowce,—
Pozazdrościły sławy Samo-Sierry
Smutne Krechowce.—*



*I pochowali ich w ciche mogiły,
Młodzieńce polskie—prawie pachołeta...
Wichry od stepu nad nimi zawyły...
Polska—pamięta...*

*Bólu niepomny i mękl wiekowej,
Nakaz honoru ulan polski słyszy;
Trwa—piersią własną zasłonić gotowy
Swych towarzyszy.—*

*Swych towarzyszy broni—obcych duchem,
Krwią, mową, wiarą—lecz bliskich orężem,—
Wścieka się prusak: „Przemocy obuchem
Ich nie dosiężem.”—*

*Pamiętać będzie lata—długie, wieki—
Was—Zmartwychwstania zadatki i Sławy!..*

*Na grób wasz spada z Ojczyzny dalekiej
Wieniec łez—krwawy!..*

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Młody hrabia Confalonieri uważany był za głowę owej partji niepodległościowej: *Italianissimi*. Wzrosły w oczach ogólnego próżniactwa i nieuctwa, kiedy szlachcicowi wystarczało zupełnie, aby był dobrym fechtmistrem i tancerzem, a jeżeli umiał sonet skłecić i francuską poprowadzić rozmowę, to uchodził za wzór wykwinta, ten młody człowiek, oddany poważnym studjom, pasjonujący się do nauk przyrodniczych, wyprzedzający śmiałymi pomysłami nietylko otoczenie, ale całą epokę, był zjawiskiem niezwykłym, a jako dziedzic wielkiego imienia i fortuny zdawał się powołany do odegrania wybitnej roli.

Gdy Eugenjusz, nie orjentując się zbyt w sytuacji, zamianował go wielkim koniuszym, ambitny patrycjusz obraził się. Nietylko nie przyjął stanowiska, tak mało odpowiadającego jego zdolnościom, ale skłonił żonę, aby złożyła urząd damy dworu vicekrólowej. Teresa usłuchała męża, choć nie podzielała jego uprzedzeń. Przywiązała się do dobrej i miłej księżnej Katarzyny, sympatycznym był jej rycerski i uczciwy Eugenjusz. Trafnymi instynktom odczuwała jego szczerą dla kraju przychylność: a hołdy, jakie składał vicekról jawnie pięknej i miłej włoszce, przyjmowała, nie znając co obłuda, z pewnem zadowoleniem, widząc w nich nagrodę za pobłażliwe lekceważenie, jakie spotykała dawniej ze strony rodziny męża. Daleką była jednak od niej myśl o jakimś dworskim flircie, była, na swoje nieszczęście może, tak bardzo, tak wyłącznie mężowi oddana, i tenże zanadto był jej pewnym. Bezpodstawnymi były wersje pamiętnikarzy, haftujących dramatyczny romans na dziejowym tle, jakoby Fryderyk znienawidził vicekróla, ponieważ był o niego zazdrosny. Teresa zgodziła się chętnie na plan męża, aby zamieszkała na wsi. Tam czuła się w swoim żywiole. Gdy urodził im się synek: Francesco, zdawało się, że szczęście zawitało wreszcie niezmacone w dom młodej pary. Chłopczek miał różową twarzyczkę i wielkie czarne oczy, błyszczące wesoło tak, jak oczy matki, ale po ojcu wziął nadmierną wrażliwość. Fryderyk, mimo pozornej siły i niespożytej energii, cierpiał od dziecka na dziwne przypadłości nerwowe, które z czasem miały się zmienić w ataki, podobne do epileptycznych. Może w tej chorobie szukać trzeba źródła do fantastycznych porywów jego niespokojnej natury. Biedne dziecko chorowało ciągle i zmarło wczesnie. Złe języki przypisywały winę dziwactwom ojca, który, podobno, wbrew prośbom

matki, bawił się nieostrożnie z synkiem, podrzucając go do góry, co miało być powodem choroby. Pani Teresa tego zarzutu nigdy nie podniosła, ale stratę dziecka przeboleła ciężko; nadzieja macierzyństwa powtórnego zawiodła ją i została sama ze swoim smutkiem w osamotnionym domu. Męża porywała coraz bardziej działalność polityczna — pani Teresa zniosłaby to jeszcze bez skargi, ale czując w obejściu ubóstwianego człowieka dziwny chłód, domyśliła się jakieś rywalki i bolała nad tem namiętnie. Listy jej z owego czasu są pełne łez. Czasem wybucha z nich zazdrość:

„Gdybym wiedziała, kto mi odebrał twoje serce, prosiłabym tę kobietę, aby mi wydarła życie własnymi rękami albo zostawiła mi człowieka, od którego to życie zależy! Ale ta nikczemna umie się dobrze maskować przede mną!” Czasem prosi pokornie: „kochaj tylko tę, która twoją była wyłącznie i na zawsze nią będzie!”

Oddalenie od męża wyrывa z jej ust słowa naiwnej czułości: „O mio caro, gdyby ludzie wiedzieli, jaka jestem, nieszczęśliwa zdaleka od ciebie, wzbudziłabym litość w sercach najobolejniejszych.

Mio caro, jakież to smutek dla mnie, że nie mogę skoczyć ci na szyję.

Gdybym miała chociaż to biedne dzieciątko! Strata jego z każdym dniem cięższa mi się wydaje i, wierzaj mi, gdy jestem sama, lzy nie przestają płynąć mi z oczu... Twoja obecność jest jedynym talizmanem na wszystkie moje cierpienia...”

Czuje ona sama, że niedobrze robi, odsłaniając tak otwarcie swą słabość wobec kochanego człowieka, nie jest to nawet zgodne z jej energiczną, męską prawie naturą, ale bezsilna wobec uczucia, wyznaje: „Najsłodsza dla mnie rzeczą jest, gdy ty mi rozkazujesz, a ja mogę słuchać twej woli”.

II.

Nastał rok wielkiej dziejowej burzy: 1814. Walily się efemeryczne trony, wzniesione ręką Korsykanina. Patrjoci lombardzcy, a w pierwszym rzędzie Confalonieri, popełnili ciężki błąd, obalając pośpiesznie rządy francuskie i torując tem samem drogę Austriakom. Trafniejszą orientację miała pani Teresa w swej prostej żywiołowej niechęci ku Niemcom! Na razie brzmiało głośno hasło niepodległości, ludzono się licząc na pomoc Anglii, a nawet — Aleksandra „odnowiciela Polski”. Confalonieri, w trafnem przeczuciu, upatrywał w

księciu Carignan, dziedzicu Sabaudzkiej korony, sternika dla italskiej ojczyzny. „Włosi jesteśmy, włoskiego potrzeba nam księcia”. Ale w najgorszym razie byłby się godził i na monarchę z dynastji austriackiej, byle dał gwarancje konstytucyjne i jaknajwiększe obszary ziem włoskich zjednoczyć potrafił.

Z tą nadzieją jedzie do kwatery zwyciężkich aljantów, do Paryża, na czele delegacji lombardzkiej.

Pani Teresa cieszy się, że mąż widzi w niej powiernicę najlepszą i wszystkie najważniejsze wiadomości przez nią przyjaciółom przesyła.

„Żadna siła nie zdołałaby mi wyrwać sekretu, który tybyś mi zwierzył”, pisze, a on wie, że nie jest to frazes tylko, wie, że na dyskrecję, rozsądek i gorący patriotyzm żony liczyć może bez zastrzeżeń.

Ale bolesną przesła jej niebawem wiadomość: „Sprzedańo nas! — o losie naszym stanowić będzie wyłącznie Austria”.

Młoda kobieta, która niechęci swej do austriaków i austrofilów dawała nieraz wyraz namiętny, nie szczędząc nawet własnego teścia, odpowiada z równym bólem:

— Otośmy niewolnicy i słudzy na wieki wieków! Na cóż się zdała cała energia nasza, kiedy nas zapredano”.

Z listu, pisanego 27 Maja 1914, dowiedziała się hrabina Teresa, jak jej mąż, z dwoma jeszcze towarzyszami, stanął przed obliczem cesarza Franciszka I-go, jak próbował wytargować przyznanie swobód i odrębności dla żelaznej korony medjołańskiej. Jeżeli już nie królestwo włoskie, to przynajmniej lombardzkie! Otrzymał odpowiedź, że cesarz chce mieć w Lombardczykach tylko poddanych, równych innym — „posłusznych i spokojnych”.

Z owego widzenia — pierwszego i ostatniego, odnieśli ci dwaj, tak różni od siebie ludzie, wrażenie niezatarte, a było to wrażenie wstrętu.

Wolnomysłny patrycjusz, stający w obronie swobód narodu, jawił się cesarzowi jako wcielenie owego szatańskiego „ducha czasu”, którego pogębienie uważał on za swój najświętszy, od Boga włożony, obowiązek, gorszy od jakiegoś krwawego i nieokrzesanego jakóbina. Włochowi wydał się „dobrotliwy” Imperator o trywialnej szwabskiej twarzy i wypukłych bladoniebieskich oczach jakąś w pół błazeńską, w pół straszną marą absolutyzmu, istotą z innej planety, do której napróżnobyś się silił ludzkim mówić językiem.

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI*)

I.

Zagadnienia i metody pedagogiki nowoczesnej tak mało są znane szerszemu ogółowi rodziców, a nawet zawodowych wychowawców, że uważamy za wskazane poświęcić w „Bluszczu” dział specjalny tej sprawie doniosłej. Rozpoczynamy go od określenia celu i zadań pedologii — nauki o dziecku, na której poważnych już zdobyczach opiera się cała pedagogika obecna, traktowana nie dorywczo i po amatorsku, lecz z uwzględnieniem wagi i doniosłości zadania, więc z odpowiednim przygotowaniem i wykształceniem.

Mimo, że pedologia jest zdobyczą zaledwie ostatnich lat kilkudziesięciu (z wyjątkiem jednej jedynej, dawno zreszto zapomnianej, pracy Tiedemann'a „Beobachtungen über die Entwicklung der Seelenfähigkeiten des Kindes”, ogłoszonej drukiem w 1787), licznym już jest jednakże zastęp pracowników na tej niwie. Francja, Anglja, St. Zjedn. Ameryki, Niemcy, Belgja, Austrja, Szwajcarja, Włochy, Rosja przedwojenna, Bułgarja i Japonja mają wybitnych jej przedstawicieli, mają liczne Towarzystwa i Związki, oddające się badaniom nad dzieckiem, bogate pracownie i laboratorja, w których przeprowadzane są skrupulatne badania doświadczalne w tym kierunku. Z dumą usprawiedliwioną powiedzieć możemy, że i Polska, pomimo tak niesprzyjających do niedawna warunków, nie pozostała na tem polu w tyle, dzięki pracom uczonych, mających już sławę europejską, profesorek: Joteykówny i Stefanowskiej, a także nieodżałowanej pedagogiczki naszej, Anieli Szczyrówny, oraz wielu innych, których spostrzeżenia i opracowania, ogłaszane drukiem w czasopismach pedagogicznych, cennymi są do nowej nauki przyczynkami.

Dzięki wszystkim pracom i studjom powyższym skryształizował się już dzisiaj pogląd na całokształt wiedzy o dziecku, opracowane zostały dziedziny i działy poszczególne, na całość tę składające się.

Zacząć, jak zaznaczyliśmy, wypada od zdania sobie sprawy, na czem właściwie polega pedologia, jakie są jej cele i zadania. Odpowiedź zdaje się narzucać sama przez się wobec celu tak jasnego, że zbędnem byłoby bodaj dłuższe jego roztrząsanie... Jak ogrodnik, hodujący rośliny, znać musi wszystkie ich właściwości i wszystkie niezbędne warunki, ich wzrostu

i rozwoju, tak samo pedagog, którego pieczy powierzono roślinę najczulszą — dziecko, opierać winien całą trudną i zawiłą sztukę wychowania na dokładnej znajomości fizycznego i duchowego ustroju dziecka

Prawda ta, tak, zdałaby się, elementarna, była jednak, a w większości wypadków jest obecnie jeszcze zapoznawana, nie tylko przez ogół, ale często nawet przez ciała nauczycielskie i władze szkolne. Bodaj nawet czy nazbyt przejawiskrawioną jest i dzisiaj jeszcze satyra Spencera, który w wiekopomnym dziele swoim: „O wychowaniu” kreśli obraz obywatela wiejskiego, pilnie odwiedzającego codziennie swoje stajnie, obory, chlewy i owczarnie celem naocznego przekonania się, jak są pielęgnowane i żywione jego konie, krowy, owce i nierogacizna i nie przypuszczającego nawet, że niemniej czujną opiekę roztoczyć winien nad sposobem odżywiania, hodowania i wychowywania własnych swoich dzieci.

Profesor uniwersytetu genewskiego, klasyczny przedstawiciel pedagogii współczesnej, Claparède, we wstępie do dzieła swojego „O doświadczalnej psychologii dziecka” słusznie zarzuca też współczesnym pojęciom o pedagogii, że redukują się one przeważnie do kwestji metod i programów. Kierunek klasyczny, realny czy zawodowy jest głównym przedmiotem dyskusji, a i ta nawet jest aprioryczną, opartą raczej na wymogach klasowych czy partyjnych, aniżeli na obserwacjach szczegółowych. W rzeczywistości zaś program najpiękniejszy i najracjonalniejszy i metoda najtrafniejsza dać mogą pożądane wyniki o tyle tylko, o ile wypływające z nich nauczanie przystosowane jest ściśle do umysłowości dziecka, do typu duchowego uczniów. Dla należytego zatem wyzyskania metod i programów nauczania niezbędną jest rzeczą dokładna znajomość psychologii, właściwie psychofizjologii wieku dziecięcego. Zamiast więc poświęcania wszystkich starań i wyników na udoskonalanie programów i podręczników, co niewątpliwie zresztą jest rzeczą nader ważną, należy zająć się równocześnie tymi, z myślą o których są one opracowywane, zatem — dziećmi. Na tem właśnie polega cel i zadanie pedologii.

O ile też opracowywanie metod i programów może być jedynie rzeczą nauczycieli, oraz władz oświatowych i szkolnych, o tyle ten najważniejszy, podstawowy dział drugi może i winien być uprawiany z najlepszymi wynikami przez stykające się z dzieckiem bezpośrednio matki, których obserwacje przyczynić się mogą w znacznej mierze do pchnięcia pedagogii naprzód i przesunięcia jej na tory właściwe. Na tem właśnie pole-

ga wyższość i właściwość znaczenia pedologii.

Wychowawca, nie opierający swojej praktyki na znajomości psychiki dziecka, skazany jest na błądzenie po omacku, na operowanie in anima vilis — na żywym cielem, nie mogące oczywiście wyjść na korzyść jego pupilom. Drastyczne pod tym względem porównanie robi wspomniany już Claparède. Wychowawca, nie posiadający podstaw wiedzy psychologicznej, wydaje mu się podobnym do technika, który odważyłby się konstruować maszyny lub budować mosty bez opierania się na teoretycznych wiadomościach z tego zakresu. Może nawet udałoby mu się ostatecznie odnaleźć doświadczalnie właściwe formuły budowy, których niezdolny on był z góry obliczyć, któż jednak odważyłby się powierzyć podobnemu inżynierowi wybudowanie mostu?

Wychowawca bez wykształcenia psychologicznego w tem samym zupełnie jest położeniu, z tą wszakże różnicą, że jeśli nawet skrzywi się czy zapadnie które z przesł lub filar jego w trakcie budowy, spostrzeżę się to natychmiast i odpowiednio prostuje lub odbudowuje na nowo. Gdy zaś paczy się w swoim rozwoju umysł czy charakter dziecka, przekonujemy się o tem zbyt późno, aby można było coś zaradzić, a już o odbudowie na nowo mowy być, rozumie się, nie może.

Zatem celem uprzednich — a także równoległych studjów pedologicznych i teoretycznych, jest zredukowanie do minimum szkodliwych doświadczeń na żywym cielem, fatalnego błądzenia po omacku, tworzącego początkom praktyki w zakresie każdej sztuki, a tembardziej sztuki wychowywania.

Znajomość psychologii dziecka więc pedologii i sztuki wychowywania w takim samym pozostawać winny wzajemnym z sobą stosunku, jak znajomość ustroju człowieka — fizjologia — z medycyną czyli sztuką leczenia. Medyk może nie być fizjologiem z zawodu, musi jednakże znać dokładnie normalny ustrój człowieka, aby wiedzieć, na czem polega choroba jego czyli odchylenie od owej normy. Tak samo wychowawca, więc: matka, ojciec, nauczycielka czy nauczyciel, jeśli nawet niekoniecznie muszą sami przyczynić się do zbogacenia wiedzy o dziecku, winni jednakże być obeznani teoretycznie z wszystkimi zagadnieniami psychologii dziecka, z wynikami prac, dokonanych na tem polu przez pionierów pedologii w laboratorjach doświadczalnych fizjo — i psychologicznych, jeśli nie chcą powtarzać błędów tak fatalnych, popełnianych przez mniej szczęśliwych poprzedników swoich, zmuszonych do szukania po omacku drogi właściwej. (c. d. n.).

Emilja Tecka.

*) Nazwa „pedologia” tak się już utarła, że zachowujemy ją, jakkolwiek jest niewłaściwą. Nauka o dziecku powinna znać się „pajdologją”, (od pajdos — po grecku dziecko i logos — nauka). Pedologia znaczy właściwie nauka o nodze (pes — noga).

3)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

KOBIE TA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

*)

日本女
カ
コ
シ
ン
ス
キ

1. Kobieta Japońska jest głównym tematem literatury narodowej i przyczyną jej rozwoju. 2. Cesarzowa *Suiko* zawiera sojusz z Chinami. 3. Poetki: *Sotori*, cesarzowa *Iwahima*, *Ito*, *Kumyo*, księżniczki: *Nukada*, *Ishikowa* i *Sakane*. 4. *Mura Saki no Shikibu*, *Sei Seonagon*. 5. Dwie japonki XVI. w. są twórczyniami teatru japońskiego. 6. Japończycy naśladowali wdzięczne ruchy kobiet. 7. Japończycy odznaczają się wyszukaną uprzejmością i są wielkimi artystami we wszystkich kierunkach. 8. Subtelność japońska jest podstawą wychowania. 9. Emancypacja kobiet Japońskich. 10. Pierwszy teatr, założony przez tancerkę *Kini*. 11. Usunięcie kobiet ze sceny. 12. Aktorzy, grający role kobiece, są wielce popularni. 13. Ładne twarze kobiece na starych obrazach japońskich. 14. Zwycięstwo słynnej aktorki i emancypantki *Sady Yakko* oraz *Kumehashi*. 15. Rzekomy udział cesarzowej w ruchu kobiet japońskich. 16. Teatry wyłącznie kobiece, dziecięce i męskie.

W Japonii hartowanie się nie było nigdy przywilejem mężczyzn. Prócz wyszukanych subtelności i melancholji zmysłowej Japończycy nie wprowadzili nic szczególnego do słodkiej teorii buddyzmu. Gdyby kobiety japońskie nie były dały wzorów, dotąd podziwianych, literatura narodowa: romanse i madrygały zaledwie mogłyby istnieć.

Najdawniejsze poezje japońskie przechowały się w dwu księgach historycznych: „*Koziki*“ („Roczniki Starożytne“) i „*Nikongi*“, „Rocznik Japonii“), z których widać, że wiersze te mają tylko wartość archeologiczno-filologiczną. Język tych króciutkich utworów nie jest jeszcze ukształtowany, a ponadto pozbawione są one zupełnie fantazji poetyckiej. Treścią tych utworów jest przeważnie miłość, a następnie: przyroda, wojna, łowy i t. p. Ceniony badacz historii literatury japońskiej, *Okasaki*, twierdzi, że, poczynając od mikada *Zinmu* (585 do 660 lat przed Chr.), który był nie tylko pierwszym władcą potężnym, ale i pierwszym poetą, oraz najgorliwszym opiekunem literatury aż do roku 600 po Chrystusie, było 44 poetów, z których najbardziej zasłynęli, oprócz już wspomnianego mikada, cesarze: *Voryaku* (438 — 478 po Chr.) *Kenso* (485-478 po Chr.) oraz poetka *Sotori* (około 500 lat po Chr.).

Pod koniec 700 roku po Chr. wytworzył się w Japonii rodzaj turniejów poetyckich, zwanych *Utakaki*, w których brała udział młodzież obojga płci, popisując się wzajemnie zręcznością i wdziękiem, zbie-

rając się zazwyczaj na placach lub górach, ażeby przy rytmicznych dźwiękach prostej muzyki rozwijać swój naturalny urok zręczności i wdzięku. Przy tej okazji młodzież zapoznawała się wzajemnie, a młodzieńcy, którzy z owego wianka uroczych dziewczyn wybrali miłe swojemu sercu, natychmiast w słowach poezji opisywali swą miłość dla wybranek. Jeżeli taki wielbiciel przypadał dziewczynie do serca, to i ona wzajemność swą stwierdzała w odpowiednim wierszu i, po porozumieniu się za pośrednictwem poezji, panna przysyłała kochankowi upominek, najczęściej ozdobę z własnego warkocza, po uprzednim, ma się rozumieć, uzyskaniu sankcji ojca. Turnieje te niemało przyczyniły się do rozwoju pierwotnej poezji, w których brały udział wszystkie warstwy ludu, od najniższych do najwyższych.

Zaznaczyć należy, że w tym samym okresie pierwsza cesarzowa *Suiko*, na życzenie księcia *Sotoku*, zawarła publicznie związek przyjazny w r. 607 z dynastją chińską, *Sui*. Odtąd Konfucjanizm praktyczno-polityczny, jako bardziej odpowiadający usposobieniu Japończyków, niż *Buddyzm*, zapanował szybko na wszystkich polach, a więc: w sztuce, nauce, zwyczajach i obyczajach, w języku, literaturze i prawodawstwie.

Wiek ósmy zawarł w klasycznej księdze „*Maniosu*“ („Zbiór tysiąca kartek“) 151 wierszy, pośród których najstarszą poezją w tym zbiorze jest pieśń cesarzowej *Iwahime* z czwartego wieku, cesarzowej *Ito*, *Kumyo* oraz Księżniczek: *Nukada*, *Ishikowa* i *Sakane*.

W roku 905 powstała księga poezji krajowych, „*Kokin-Shu*“ („Stare i nowe“), z epoki, ogarniającej lat 150, a uzupełniona w r. 922, składa się z 1200 poematów. Księga ta przyczyniła się do rozwoju ruchu poetyckiego w wieku dziesiątym i jedynastym. Brały w nim udział w przeważającej liczbie kobiety, które stworzyły nawet rodzaj konkursów poetyckich dla poetów i poetek, ubiegających się o palmę pierwszeństwa.

Dopiero w początkach wieku dziesiątego powstały słynne „*Monogatari*“ t. j. opowiadania albo powieści, w których fikcja literacka łączyła się zazwyczaj z prawdą życiową. Za największe arcydzieło twórczości narodowej uważane jest „*Genui Monogatari*“, której autorka jest kobieta, *Mura Saki no Shikibu*, dama dworska, urodzona w r. 998, a zmarła w r. 1074, pochodząca ze słynnej rodziny książęcej *Fuyiwara*, piastującej wówczas najwyższą godność w kraju wschodzącego słońca. Oprócz utworu wspomnianego dużą wartość literacką po-

siada dzieło p. t. „*Makura Sozi*“ czyli „*Szki ce poduszkowe*“, których autorką jest również kobieta, dama dworska, *Sei Seonagon* (r. 908—990).

Ponadto należy zwrócić szczególną uwagę na fakt, że kobieta japońska, którą tradycje przystrajają w zbroję zwycięzców, której żadne prawo salskie nie usuwa od władzy, dzieli z duchowieństwem buddyjskiem zaszczyt stworzenia literatury Japońskiej. Podczas kiedy uczeni i dworzanie ubierają swe myśli w formy chińskie, podlegając tyranii tej azjatyckiej łaciny, kobieta japońska przechowuje język narodowy, cieniuje go, oczyszcza z naleciałości obcych, wzbogaca i przekazuje potomstwu.

Wreszcie w wieku szesnastym dwie kobiety otworzyły pierwsze teatry i zorganizowały pierwsze sceny, po to tylko, aby wkrótce purytanizm *samurai*'ow zabronił im występować na scenie.

Dla nabycia wdzięcznych ruchów i postawy mężczyźni uprawiają pseudo-piękne sztuki, w których się zwykle doskonali młode dziewczęta.

Japończycy pogardzają kobietami z jednej strony, z drugiej jednak łamią głowy nad sposobem ofiarowania im kwiatu lub podania filiżanki herbaty (*cha!*).

Chociaż Japończycy odznaczają się wyszukaną uprzejmością, jednak w oczach Europejczyka kobiety japońskie stoją wyżej od swych braci, posiadają one bowiem typowy wdzięk kobiecy oraz niezwykle cnoty, natomiast pozbawione są zarozumiałości mężczyzn.

W każdym bądź razie pamiętajmy, że japończycy są wielkimi artystami we wszystkich kierunkach. Istnieje zdanie, że japończycy nie traktują życia poważnie, a tymczasem stwierdzić należy, że wszystko w ich wychowaniu dawniejszym wykazywało głębokie przekonanie, że życie nie jest nam dane tylko dla przyjemności. Podziwiać natomiast należy subtelną umiejętność, z jaką wychowawcy umieli najcięższemu przymusowi nadać łatwość ruchów, wyraz naturalności i złagodzić wdziękiem instynktownym — przynajmniej u kobiet — twardość *gaasi* spartańską.

Emancypacja kobiet japońskich datuje się od wieku szesnastego i przejawia się w różnych dziedzinach życia społecznego, odnosząc jednak największe triumfy w literaturze, a następnie w teatrze. Szczególne piętno kultury, cywilizacji i postępu kobiety japońskiej zaznacza się w dziejach teatru, a to dzięki założeniu pierwszego stałego teatru (*shibai*) w r. 1603 w *Kioto*, ówczesnej stolicy *Mikado*w. Założycielką teatru by-

*) Tytuł i nazwisko autora.

ła słynna tancerka świątyni Shinto, nazwiskiem Kini. Tancerka ta, znana ówczesnie z ról bohaterów i rycerzy, nosiła włosy krótkie po męsku, a za pasem dwie ostre szpady — pozostawiając swe szaty niewieście swemu małżonkowi, Sanjo o ro, który podobno z wielkim wdziękiem chodził, pokazując się w nich nawet publicznie, co pociągało za sobą licznych naśladowców sławnej pary. Ponieważ emancypacja kobiet japońskich wywierała, według ówczesnej opinii, zły wpływ na pleć brzydką, a piękność glishy Sadoshimi-Masakishi w pojęciach ówczesnego fanatyzmu i przesądów okazała się szkodliwą dla dobrych obyczajów, przeto został ogłoszony niezwykłe surowy edykt pobożnego Mikada - Shoguna, który zabronił wogóle kobietom „próbowania na mężczyznach potęgi swych wdzięków“, usuwając w ten sposób kobiety ze sceny teatralnej. Przykry ten edykt, ogłoszony w r. 1612, rozpoczął smutną dla teatru japońskiego epokę męską, trwającą aż do r. 1868, t. j. do chwili rewolucji europeizowania Japonii.

Od chwili ogłoszenia wymienionego edyktu aż do dnia obecnego istnieją zespoły teatralne, złożone z samych kobiet lub dzieci, jednak nie miały one ani wówczas, ani obecnie takiego rozgłosu i powodzenia, jak teatry, w których grają wyłącznie mężczyźni, a które uważane są za najlepsze. Kobiety ukazują się jednak obecnie na scenach podrzędnych. Aktorzy, zwłaszcza z pośród tych, którzy grywają rolę kobiece, cieszą się wielką popularnością i uznaniem społeczeństwa japońskiego, a mimika i maska aktorów—odtworzących rolę kobiece—przynajmniej najsławniejszych—stały się źródłem natchnienia malarzy; także wiele z tych twarzy kobiecych, które nas zachwycają na starych rycinach japońskich, są niczem innym, jak tylko portretem twarzy mężczyzny — aktorów, grających rolę kobiece.

Zaznaczyć należy, że kobiety w okresie trwania edyktu ukazywały się na scenie jedynie tylko, jako wykonawczynie poważnych tańców.

Dopiero po rewolucji europeizacji, kobieta znów powraca na scenę, dzięki słynnej aktorce, a jednocześnie tokijskiej emancypantce, Sady Yakkko i jej koleżance, Kumchaski, które, stojąc na czele ruchu kobiet japońskich, pierwsze zatknęły sztandar zwycięstwa. Do zwycięstwa tego również przyczyniła się podobno cesarzowa japońska, która dopomagała Sady Yakkko, przełamując w ten sposób wszelkie tradycje i przesady fanatyzmu, zdążając wskutek tego szybko wciąż naprzód ku rzeczywistej cywilizacji. Odtąd kobieta japońska ponownie powróciła na deski sceniczne, właściwie jednak powrót jej nastąpił w latach ostatnich, a więc i teatr japoński stanął u wrót nowej fazy rozwoju, ale tym razem na mo-

dę prawdziwie już zachodnią: niech się rozwija i kwitnie należycie i niechaj się stanie rzeczywistym odbiciem głębokiej kultury i wysokiej cywilizacji synów kraju wschodzącego słońca; byleby tylko pełne wdzięku, wrodzonej delikatności, rzeczywistego uroku kobiecości i urody. Kobiety japońskie nie chciały nosić krótkich włosów i za pasem ostrych szpad.

LIST ZE SZCZAWNICY

w lipcu.

— Pan pije „Józefinę“ — Nie, piję Magdaleny.

— Przed śniadaniem? — Tak panie. Lekarz kazał mi pić pół kubka „Magdaleny“ przed śniadaniem i pół kubka „Józefiny“ po śniadaniu.

— A mój doktor zalecił mi odwrotnie! Pół kubka „Józefiny“ przed śniadaniem, pół kubka „Magdaleny“ po śniadaniu — A ja sobie jeszcze urozmaicam. Przy obiedzie piję: „Stefana“, a po podwieczorku chodzę do „Wandy“.

Te i tym podobne rozmowy obijają się o uszy na deptaku szczawnickim, w roku bieżącym luźniej zatłoczonym, niż lata ubiegłego. Goście naogół leniwiej zjeżdżają. Nic w tem dziwnego.

W związku z wprowadzeniem stałego pieniądza i zmniejszeniem się spekulacji, rodzaj publiczności, który od dawnych lat wody nie umiował i tłumnie tu rok rocznie zjeżdżał, zmuszony widać został do pozostania w domu lub przeniósł swe lasy i penaty gdzieindziej. Zresztą, ogólny brak gotówki niezawodnie wywiera swój wpływ na zmniejszenie się liczby przyjezdnych do polskiego uzdrowiska, które tanioczą nie grzeszy, a natomiast współzawodniczyć z urzędzeniami zagranicami nie może. Wiele tu niedomagań, dokuczliwych dla kuracjusza, a zasługujących na przyganę.

A szkoda tej zaiste „perły Pieni“! Jej przyroda, malowniczość pejzażu, piękna roślinność, a nadewszystko znakomite powietrze, przesycone balsamem iglinia i górskich łąk, wabi wdziękiem i zaletami, łagodny zaś klimat (prawie zupełny brak wiatrów) goi rany, zadane płucom przez kurz i bakterje miasta. Stacja to klimatyczna—pierwszorzędną, a wartość i skuteczność miejscowych źródeł — niezrównana. Śmiało mogą rywalizować z wodami zagranicznymi, jak Homburg, Salrator, Kissingen etc.

Najpopularniejsze — to źródło Józefiny, stosowane przeciw astmie, gruźlicy, oraz wszelkim katarom dróg oddechowych. „Magdaleny“ z dumą nazywają polskim „Mühlbrunnen“; źródło „Wandy“ o b. przyjemnym smaku dzięki zawartości litowej soli, skutecznie pomaga w cierpieniach artretycznych. Źródło: „Walenji“ zalecają do płukania nosa i gardła,

„Szymni“ zawierające żelazo, pomaga na niedokrwistość. Źródło „Jana“ używa się tylko do kąpieli.

W niepokaznym, drewnianym domu mieści się 7 małych celek z wannami granitowymi oraz hydropatja. Gazowych kąpeli niema. Instalacje solankowe, igliczne oraz systemu Bullinga, dobrze urządzone, lecz sam lokal przyciasny, nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom. W Szczawnicy — niema kanalizacji. Sanitarne ubikacje — to czarny punkt na miejscowym horyzoncie. Lepiej o nich nie mówić. Na ulicach unoszą się czasem niesamowite zapachy, bynajmniej nie przypominające „Mille flours“ Houbigant'a. Ceny pensjonatów I kl. wynoszą 10—11 zł. za pokój z całodziennym utrzymaniem. Cena ta niesłusznie ujednostajniona, gdyż dobroć pensjonatów jest b. różnorodną. Za wynajęcie pościeli dopłaca się 1 zł. dziennie od osoby. Przyjemniej i zdrowiej przywieść swoją własną.

Elektryczne światło istnieje tylko w 14 willach zakładowych, które w r. b. objął w dzierżawę p. Hajto z Krakowa oraz utworzył restaurację w parku, w t. zw. „Dworcu Gościnnym“, starannie prowadzona. Abonament całodzienny dla mieszkańców zakładowych kosztuje 7 zł. Można też jadać a la carte. W restauracji znajdują się cenniki polskie i w obcych językach. W r. z. brak takowych dotknie dawał się uczuwać.

Opłata zdrojowa wynosi 23 zł. od osoby dorosłej — dzieci płacą 15 zł. — Dla urzędników państwowych oraz uczącej się młodzieży bywa stosowna ulga 50%.

Rozrywek naogół niewiele. W ładnie utrzymanym parku przygrywa dla pijących wody nieliczna wojskowa orkiestra. W „Dworcu Gościnnym“ bywają kilka razy w tygodniu nieodpłatne „dancingi“, mało ożywione naogół. Lecz zdarzają się i wybitne atrakcje, dostarczające prawdziwie artystycznych wrażeń. Do takich należał interesujący wieczór operetek, aryj, pieśni i... gwizdania, wykonany przez znakomitą prymadonnę, W. Kawecką i jej utalentowanego partnera, Kaz. Krzeglowskiego oraz świetny recital Adama Didura. W najbliższych dniach zapowiedziany jest wieczór deklamacyjny p. Kaz. Rychterówny.

— Szczawnica była niegdyś własnością b. zamożnej rodziny, Szalajów. Szalaj w testamencie zapisał ją Akademii Umiejętności w Krakowie, jako centrali polskośći w czasach zaboru austriackiego. Od Akademii nabył ją hr. Stadnicki, właściciel Nawojowej. Lasy okoliczne eksploatuje obecnie niejaki Srendseu, duńczyk czy szwed, który spławia drzewo Dunajcem do Gdańska.

Dojazd do Szczawnicy odbywa się autobusami z N. Targu i N. Sacza. Ta ostatnia droga — piękniejsza wzdłuż brzegu rzeki. Poczta, pocztowie wozona po staroświecku, furką jednokonną od kolei, (42 kil.), dochodzi raz

tylko na 24 godzin. Gdyby autobusy pocztę zabierały, otrzymywalibyśmy ją prędzej i dokładniej.

Osobliwością, godną zwiedzania, to przejażdżka po Dunajcu od Czorsztyna przez Pieniny. Zielony nurt w gwałtownych skrętach wije się wśród wysokich, prostopadłych skał, unosząc wartko na srebrnopiennej grzywie długie, wąskie „czaje“, kierowane wprawą dłonią przewoźnika. Niestety, zato piesze zapędy polskiego turysty powstrzymuje placówka czeska, Czesi bowiem zamknęli przejście w Pieninach na swe terytorjum, a celną granicę urządzili koło Czorsztyna. Tamtędy, po zaopatrzeniu się w odpowiednie przepustki z miejscowego starostwa, można się dostać do Czerwonego Klasztoru, grotty Axamitki i źródła siarczanego: Śmierdzonki.

Pstrągi i lososie pływają wprawdzie w Dunajcu, ale są to delikatesy, o których się tylko słyszy, ale zrzadka widuje, chyba... w koszernej jadłodajni.

Lud sympatyczny i dorodny. Mężczyźni noszą barwne haftowane kamizelki. W niedziele i święta całą gamą kolorów mieni się wnętrze kościoła parafialnego, w r. b. ozdobionego nową polichromją, b. indywidualnie traktowaną, pędzla lwowskiego artysty, Karola Poletyńskiego.

Minister Tyszka obiecuje w niedalekiej przyszłości budowę odnogi kolejowej do samej Szczawnicy. Wtedy rozwój tego pięknego zakątka postąpi szybkim krokiem naprzód.

Wanda Mirowska.

11 lipca 1924 r.



PANIE STARSZE

Drogi Panie! Proszę Was, bądźcie młode!

Jest was za mało. Za dużo jest zato kobiet starych. Wszędzie: na ulicach, w tramwaju, w stolicy, a jeszcze więcej na prowincji. One zapełniają odczyty; w niepomierniej liczbie dekorują kanapy w salonach.

Znalazłam się niedawno w domu pewnej bardzo miłej starszej (przez wszystkich zaliczanej do tej kategorii) pani. W salonie jej było też pełno pań starszych — nie budzących pod tym względem niczych wątpliwości. Te typowe starsze panie w pretensjonalnych, lecz niemodnych fryzurach, obarczonych sporą ilością biżuterji, po dwie

lub po trzy prowadziły gadatliwą rozmowę.

Przycupnąwszy w drugim saloniku, w jakimś neutralnym towarzystwie, doczekałam się chwili, gdy moje starsze panie gremjalnie poczęły opuszczać salon. Przechodziły obok szeregiem, prezentując mi w całej okazałości zdeformowane kształty, obwisłe podbródki lub chude karki, kaczy chód, niebywałe dysproporcje prawego i lewego biodra.

Ale ileż one miały lat?

Czyż ja wiem?...

Były stare. Sądzę, że równie dobrze mogłyby być młode.

Ich rówieśnicę — a od niej jednej niezawodnie starszą — spotykałam całą zimę na nartach i na ślizgawce z dwojgiem dziesięcioletnich wnucząt, nie jako opiekunkę, ale towarzyszkę i współzawodniczkę dzieci na śniegu i lodzie!

Była to, coprawda, angielfka!

Przeżyte lata dały jej siwiznę, ale nie widać, nie czuć było tych lat w wysmukłej sylwecie, elastycznych ruchach, cerze bez zmarszczek...

Dla sprawiedliwości — słowo o wyjątkowej warszawiance. Widywałam ją latem na Wiśle przy wiosle. Do tej pięknej pani uśmiechnie się niewątpliwie wkrótce 50-ta wiosna. Ale przepyszna budowa, cudownie opalone ciało, jasny wzrok, uśmiech pogodny, jaki daje tylko pełnia sił, czynią ją czarującą.

Kto nie przyznałby jej pierwszeństwa przed limfatyczną dwudziestodwuletnią mężateczką?

Bądźcie więc młode, drogie panie. Życie, jakbyście zawsze miały lat 20. Nie wypada pani w 40-ym roku życia uprawiać ślizgawki? Nie chcę pani być „śmieszna“? Pozwoli pani, że zaprzeczę: Jest pani tylko za leniwa, za bierna. Woli pani się starzeć, poddać się bez oporu czasowi, zrezygnować bez walki.

Oto tajemnica waszej starości, waszej brzydkiej starości, starsze panie!

Powiecie mi, że to przepisy kulturalne danej epoki obowiązują kobietę do starzenia się i rezygnacji z życia, od jakiejś daty? Uznają kobietę poprosztu za wyszłą z koła życia, potępioną i skazaną?

Ale data to zmienna. Sto lat temu jeszcze „grzebano żywcem“ kobietę z chwilą, gdy włosy jej znalazły się pod czepcem małżeńskim. Odtąd istniały dla niej już tylko kapelusze, „wiązane“ pod brodę. Od 25 roku życia już szła świadomie i bez czoporniku ku starości.

Balzac zrehabilitował kobietę trzydziestoletnią.

Trente ans — pas graniczny, w którym darował jej wspaniałomyślnie życia i młodość.

Dziś balzakowski werdykt przedłużono o dobre 10 — 15 lat. Moda nawet wykreśliła wogóle termin starości ze swych statutów. Niema su-

kien, niema kapeluszy dla starszych pań!

Niestety — wbrew głosowi epoki, nawet pomimo mody — istnieją starsze panie. Te nasze panie, które czy w 30-ym (nie krzyczcie na mnie!) czy w 50-ym roku życia nie chcą fatygować się zdrowym trybem życia, ani przechadzka, ani kąpielą (a jakże!) ani sportem, ani żadnym trudem, ni wysiłkiem.

No, i za to rosną im przedwcześnie podbródki, mnożą się zmarszczki, i nogi zaczynają chodzić nietyle camel-walk'iem, ile prawdziwie wielbłądzim, rozpaczliwie dwugarbnym krokiem.

Jaga.



„CZY BOGOWIE SĄ Z NAS ZADOWOLENI?“

W kobiecym piśmie, wychodzącym w Indjach, p. t. „Stri-Dharma“, czytamy pod powyższym nagłówkiem interesujący artykuł wybitnej przywódczyni ruchu kobiecego w Indjach, pani N. Lakshmanan. Przytaczamy tu z tego artykułu niektóre ciekawsze ustępy, odzwierciadlające żywo położenie kobiety hinduskiej oraz zwyczaj, poglądy i opinie społeczeństwa.

„Kobieta w Indjach zajmowała zawsze wysokie stanowisko w rodzinie i społeczeństwie. Wskazują na to nawet imiona naszych starożytnych bogów i bogiń. Prawo Manu powiada: z tego domu, gdzie kobiecie oddana jest należna cześć, bogowie są zadowoleni. Czy jednak bogowie są obecnie zadowoleni z naszych domów? Czy wolno nam będzie odpowiedzieć na to pytanie potakująco tak długo, jak istnieć będą wśród nas takie rany społeczne, jak młodzieńskie matki, rodzice dzieci, zanim same jeszcze prawie dziećmi być przestały — wdowy — dziewczynki, małe dzieci oddawane do świątyń — nominalnie „na służbę bogom“, lecz faktycznie — zaprawiane od najmłodszego wieku do najwstrętniejszej rozpusty?

Każdy obywatel Indji ma dziś na ustach słowa świętej „mantra“ wolności. Czy jednak wolność ta ma ograniczać się jedynie do naszych politycznych aspiracji, nie odnawiając naszego życia moralnego? Kto wie, czy nie zjawi się w takim razie jakiś typ natchnionego reformatora — kobiety — jakiegoś kobiecego Gandi, — który rzuci hasło „powstrzymania się

od współpracy" (non cooperation) uciśnionych kobiet, w stosunku do ich tyranów — mężczyzn. W dzisiejszych niespokojnych, sfanatyzowanych czasach nie jest to wcale niemożliwe przy puszczenie...

Czyż nie należałoby nam zatem uprzedzić tę możliwość i przyznać kobietom w Indiach wolność, która jest przyrodzonym prawem wszystkich ludzkich istot — zarówno mężczyzny, jak kobiety i dziecka?

Rzućmy okiem na piękną, złocistą przeszłość naszego narodu. Cóż w niej widzimy? świetlane postacie naszych Garghi, Maitregi, Ahalgabai i Mirabai wskazują nam, że w owych minionych latach kobieta była prawdziwą towarzyszką mężczyzny, stając u jego boku zarówno w dniu pokoju, jak i wojny. Największa nasza poetka narodowa, znana przez Europejczyków „indyjską Safo", Saraimi, słusznie nazwała współczesną kobietę w Indiach „lampą niezapaloną". Społeczeństwu naszemu przypada w udziale piękny i zaszczytny obowiązek dobrowolnego podania jej pochodni oświaty. Pamiętajmy, że w Indiach kobieta była naczelnym bóstwem w rodzinie — żaden inny kraj nie mógłby się pochwalić tak wysokim podniesieniem godności kobiety!

Nasze przysłowie narodowe mówi: „Ręka, co buja kołyskę, rządzi sterem świata". Niechże więc dziewczęta nasze uczą się, poza najpierwszymi i najświętszymi obowiązkami domowego ogniska, poświęcić także i pewną część swych sił i swego czasu służbie dla dobra własnego kraju i całej ludzkości. Nauka, którą posiadają nasi chłopcy, musi się stać także i ich udziałem. Minęły już te czasy, gdy średniowieczni scholastycy w Indiach uważali kobiety, narówni z Sudrasami, za stworzenia nieczyste, grzeszne i niegodne światła wiedzy. Dzisiaj t. zw. Sudrasi podnieśli już wysoko sztandar swej wolności. Moment wyzwolenia kobiet także już dzisiaj bliski.

Pomnijmy, że nasz wielki Mistrz, Sri Bamakriszna Paramahomsa, otrzymał, wedle świętej legendy, pierwszy stopień swego wtajemniczenia z rąk-kobiet.

Wychowajmy zatem synów i córki nasze w sposób jednakowy, ucząc ich od dziecka rozumieć te słowa naszych ksiąg świętych:

„Sprawa mężczyzny a kobiety jednaka jest: w dziejach wszechświata Wspólny ich los: olbrzymów lub karłów — wolnych lub więźniów w powrocie niewoli“.

KONKURS TENNISOWY.

W Londynie miał miejsce konkurs gry w tenisa, w którym brały udział jedynie kobiety. Kulminacyjnym momentem tych zapisów była partja, rozegrana pomiędzy dwoma najsłynniejszymi championkami świata:

francuzka, p. Suzanne Langlain i amerykańką, Miss Wills. Zwyciężyła paryżanka, pomimo iż jej współzawodniczka pobiła dotychczas rekordy wszystkich match'ów tenisowych całej Ameryki.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KOBIECA.

W Londynie powstała spółka wydawnicza, założona i prowadzona wyłącznie przez kobiety. Cały personel, zarówno kierowniczy, jak i służbowy, składa się z samych kobiet. Towarzystwo ma zamiar wydawać zarówno dzieła beletrystyczne, jak i treści naukowej. Obecnie rozpoczyna druk encyklopedji, poświęconej sprawom kobiecym, a także wydawnictwo tygodnika kobiecego „Everywoman“.

UPOSAŻENIE RODZIN W AUSTRALJI

Doroczna Konferencja Stronnictwa Pracy w Australji (Victoria Labour Party) przedłożyła rządowi projekt uposażenia rodzin. Według tego projektu rząd wypłacać będzie wszystkim rodzicom jako subwencję na każde dziecko od chwili jego urodzenia do ukończenia szkoły powszechnej, po 5 szylingów tygodniowo. Dzieci nielegalne, jak również dzieci wdów i mężatek opuszczonych przez mężów, mają być utrzymywane na całkowity koszt rządu.

Z. B.



„Człowiek, który zwarjował“.

M. H. Szpyrkówny.

Szpyrkówna jest powieściopisarką o typie twórczym, energicznym, bystrym, łatwo i szybko orientującym się. Swobodnie przynosi się z dziedziny w dziedzinę, ze środowiska w środowisko, instynktownie znajdując formę, najlepiej pasującą do danego tematu. Wręcz przeciwnie, jak to ma miejsce u większości beletrystów ostatniej doby, trafność instynktu literackiego góruje u Szpyrkówny nad kulturą literacką. Nie jest to zarzut, ale stwierdzenie faktów. Pewną konstrukcją psychiczną lub twórczą przynosi się z sobą; można ją świadomie lub nieświadomie zmodyfikować, nagiąć, wydoskonalić, ale przeinaczać jej nie można i nie należy, bez spaczenia lub załamania wrodzonej linii rozwojowej.

To niebezpieczeństwo Szpyrkównie nie grozi. Od zarania swej twórczości aż po dziś dzień jest wierna sobie. Chce i umie być poczytną i zajmującą. Czuje czytelnika tak, jak dobry dramaturg czuje deski i widownię. Trzyma go za rękę, bada jego puls, nigdy nie traci z nim kontaktu, a za najłżejszym śladem znużenia czy senności mówi: „Masz dosyć, kochanećku! nie bój się, zaczniemy z innej beczki“.

I zaczyna z innej beczki, a czy to będzie miód litewski, kwas białoruski, cochłarł amerykański czy słodka trucizna w „Będziesz Malańka“, — zawsze jest umiejętnie wytoczona i w odpowiedniej czarce podana. Pije się ją z wolna lub z nerwowym pośpiechem, zawsze ze smakiem, czasem z lekkim zawrotem głowy choć bez utraty przytomności.

Każdy twórca ma swój szczyt i swoje arcydzieło. Takim szczytem Szpyrkówny jest jej „Grzech“. Powieść nie tylko bystro, ale ślicznie napisana, z tem pełnym jasnowidzeniem duszy bohaterów, z tą maestrią intuicji, jaką daje prawdziwy talent. „Grzech“ Szpyrkówny był dowodem jej wysokiej cnoty literackiej. Nie zapożyczała się tu u nikogo, nie flirtowała z nikim, nawet nie kokietowała czytelnika. Tworzyła dla siebie, z głębi duszy własnej rzeczywistość kresową, rzeczywistość dworu białoruskiego, zaścianka, oficyny, plebanji, tę rzeczywistość, która dziś żyje już tylko w pieśni, bowiem ją brudna i cuchnąca fala przemocy zalała i zniosła.

Tam, na kartach tej powieści, drukowanej czasu wojny w odcinku uchodźczego pisma w Moskwie, wykwitł i zgasł ostatni typ przedwojennej kobiety, cudnej polskiej pani, słodkiej, nieprzygotowanej do życia, niepraktycznej, nienawykłej do brutalności, wiotkiej i miękkiej, wonnej i czystej, jak biała lilja, wychylająca się z płatków czarnego aksamitu, pani dostojnej, która przeżyć upadku nie potrafi i w szarych mętnych falach białoruskiej rzeki gasi płomień swej hańby i żar swego wstydu.

Dziwnym zrządzeniem losu „Grzech“ Szpyrkówny zaginął i w rękopisie i w odbitce, jak zresztą tyle innych mniej cnotliwych i zajmujących grzechów utonęło w zawierusze wojennej. Dalszy jego ciąg p. t. „Wielki Cham“ może dać pojęcie czytelnikowi o charakterze i typie „Grzechu“, ale nie może wskrzesić jego uroku.

Od tej pory autorka zerwała z przeszłością białoruską. Wyjechała do Ameryki, zaczęła się uwspółcześniać. Rzuciła na rynek księgarski z werwą i zacięciem skreślone „Gwiazdy i Dolary“, dobrze znane czytelnikom „Bluszczu“.

A dziś wyłowila z nurtu współczesności świetną, ponętnie trzepocącą się, kusząco połyskliwą rybkę telepatji „Człowieka, który zwarjował“.

Tematy telepatyczne są, jak ryby: nietyle w nich znaczy mięso, co sos. Nie od fabuły, ale od jej podania i przyrządzenia zależy wartość artystyczna utworu.

Szpyrkówna jest dobrym kuchmiszrem. Dała sobie radę z materiałem, na którym tak łatwo wpaść w banalność właśnie dlatego, że jest nadzwyczajny i niesamowity. Przeszła bez szwanku po tym moście, na którym zalamuje się tyle ryzykownych i chcących ryzykować talentów. Nie jest to wprawdzie Be, ani nawet Ewers, ale jest rzecz, którą się czyta przyjemnie, bez ziewnięcia i bez skrzywienia niesmaku, chwilami w dużym napięciu.

Problemat ożywienia i ucieleśnienia zjawy telepatycznej zapomocą fluidu, czerpanego z żywego człowieka, przeprowadzony interesująco, choć chwilami nieco rozwlekle.

Zato nowelistyczny fragment p. t. „Liana Viva“, luźnie tylko z całością fabuły związany, jest pierwszorzędnym „kawałkiem“ w tym stylu, budzi grozę i gęsią skórę, a jednak niepozbawiony jest pewnego szlachetnego tragizmu.

Szpyrkówna dała dowód, że „grzeszyć“ potrafi nie tylko na terenie rzeczywistości, ale i zjaw zaświatowych. Szkoda, że to nie tamten „Grzech“.

W tem wszystkim jest jedna smutna rzecz: fakt, że autorki polskie i to utalentowane muszą pisać „Człowieka, który zwarjował“, bo gdyby pisały tylko o ludziach przytomnych, publiczność t. zw. czytająca, a przy najmniej kupująca książki otoczyła ją napewno czarną chmurą ostracyzmu.

Ale miejmy nadzieję, że „nadejdą inne czasy“.

S. P. O.



Z TEATRÓW

TEATR ROZMAITOŚCI.

„Gdy kobieta zapragnie” — komedia w 3-ach aktach A. Savoir'a i S. Rey'a — Przekład J. Śmiechowskiego, Reżyserował Paweł Owerłło.

Ostatnia premiera w Teatrze Rozmaitości była jednym ciągiem nieporozumień.

Autorzy, właściwie p. Savoir, znany nam z grywaných przeważnie w Teatrze Małym (gdzie jedynie grać je należy), doskonałych lekkich komedji swoich, jak: „Banco”, „Szewaczka z Luneville”, „Ósma żona Sinobrodęgo” — przyzwyczaili nas do oczekiwania zabawy w lepszym stylu, ilekroć afisz zapowiada utwór tego pióra. Nadto Teatr Rozmaitości jest sceną, uświęcającą — siłą tradycji — styl komedjowy o djapazonie wyższym. Stąd szereg nieporozumień. Gdy bowiem jedni z aktorów, szanując powagę miejsca, nastroili się na ton komedji, inni, słusznie rozumując, że mają do czynienia z wyraźną farsą, usiłowali podkreślić — niektórzy zbytnio nawet — groteskowość figur.

Nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że intencją pp. Savoir'a i Rey'a było napisanie sztuki, przeznaczonej dla jednego z paryskich teatrzyków bulwarowych, gdzie rzeczy podobne grywane są w szalonym, porywającym tempie, odpowiadającym charakterowi utworów tego rodzaju. Brak wszakże jedności czasu akcji (przerwy kilkumiesięczne pomiędzy jednym aktem a drugim) staje w rażącej sprzeczności z zasadniczymi cechami farsy, czy groteski, wymagającej jednolitości rozpiędu. W naszych Rozmaitościach takie wspaniałe tempo groteskowo-farsowe wziął jedynie p. Węgrzyn, sam przez się wyborny, pełen skrzętego się humoru i werwy, zbyt błazeński wszakże w zestawieniu z pełną wdzięku partnerką swoją, p. Miłą Kaminską, ślicznie i nie bez humoru grającą trudną rolę Niny, w którą nade wszystko jednak włożyła uczuciowość komedjową. I stąd zasadnicze nieporozumienie. Bowiem ta dominująca nuta szczerzego sentymentu bohaterki dziwnie odbijała od groteskowości p. Węgrzyna, który w roli Saint Huberta podkreślił wyłącznie lekkoducha, nieprzystępnego dla uczuć głębszych. Bodaj najwięcej jednak w tym względzie zawinili autorzy, sami z sobą w niezgodzie, czy mają iść po linii czysto farsowej, czy też wznieść się na szczybel komedjowy.

Zupełnym też nieporozumieniem były niektóre role, traktowane z szarżą, nietyle nawet niezrozumiałą, ile niedopuszczalną wprost na scenie stołecznej. Tak zagrana była np. przez p. Myszkiewiczą rola detektywa. Pan Owerłło, natomiast, który bardzo starannie wyreżyserował sztukę, w czem mu wielce pomogły ładne — zwłaszcza w akcie 1-ym dekoracje p. Aleksandrowicza — potraktował swoją rolę przyszłowiowego Filipa w sposób zbyt już uroczysty, niesharmonizowany z nastrojem zespołu.

Na dobro sztuki zapisać należy dużą dozę rzetelnego humoru i stąd nieustanne wybuchy śmiechu na sali.

Treść tak nikłą, że niewiele o niej można pisać. Nina, jak to zazwyczaj bywa u p. Savoir'a, kobieta energiczna, mocna, przywykła do stawiania zawsze na swoim, postanowiła zemścić się na panu de Saint Hubert i zawlec go przemocą, nietyle do ołtarza, ile przed oblicze mera, co we Francji na jedno wychodzi. W gruncie rzeczy jednak powodu-

je nią nietyle pragnienie zemsty, ile rzeczywistej miłości (nieporozumienie główne) dla miłego lekkoducha. Po tysiącnych, czysto farsowych, perypetjach, w których, rozumie się, nie brak i łóżka na scenie, i ślicznej, z elegancją noszonej przez p. Kamińską, zielonej pyjamy, — dopina piękna pani Nina celu i... kurtyna zapada w szczęśliwym momencie, kiedy zamierzona kara stać się ma słodką dla obojga nagrodą. — Nareszcie jedno chociaż nieporozumienie rozwiązane.

NIEBIESKI PTAK.

Kierownik artystyczny J. Juźnyj. Reżyser p. Nielidow. Kierownik muzyczny S. Kagan. Dekoracje Chudiakowa i Czeliszczewa.

Odkąd Maeterlinek wypuścił w świat swego „Niebieskiego Ptaka” nauczyliśmy się widzieć w nim symbol poezji.

Nie zawiódł tej wiary i rosyjski „Niebieski Ptak” choć wyfrunął z kraju wszelakich niemożliwości, z piekielnego chaosu, skąd poszły na Europę silne blaski nowej sztuki i trujące tchnienia śmiertelnej zarazy.

Przedewszystkiem krótkie sprostowanie. „Niebieski Ptak” nie jest kabaretem; to teatr minjatur i drobnych uscenizowanych obrazków oraz pieśni ludowych i robotniczych. Zdziwiająca jest skala jego rozciągłości artystycznej. Obok ekspresjonistycznie ujętej groteski („Bar amerykański”, „Rosyjska Knajpa”, „Time is money”) mamy ponure w swym tragizmie i świetnie inscenizowane obrazy: „Burlacy” (Riepin) i „Wszędzie jest życie” (Jaroszenko), z których dobywa się już nie jęk, a skowyt zgwałconej i zgnębionej duszy. Pogodnie od nich odbijają drobiazgi finezyjnie stylizowane, jak: „Holenderska porcelana”, „Dama, Murzyn i Amor”, „Kanapa”, „Rosyjska Zabawka”.

Ale najwięcej zainteresowania budzą sceny i obrazy rodzajowe, jako przejawy narodowej i ludowej psychiki. Gest i barwa są w nich jedynym, lecz wyrazistym konturem, dominującym nad słowem nikłym, nieraz beznadziejnie bezmyślnem. (Czastuszki).

Do najpiękniejszych malarsko należą: „Baby” (rosyjskie pieśni ludowe). Są to prawdziwe „Baby” w rzeszystych kolorowych spódnicach, w długich kwiecistych chustach. A tańczą, a śpiewają, aż ómi się w oczach. Kołuje wszystko. Kołują chusty i barwne spódnice, kołują wielkie roześmiane baby i śpiewają, śpiewają. Chyba zatańczą się i zaśpiewają na śmierć.

Piękną w prostocie, a mocną w wyrazie jest „Katarynka”. Tragizm tych trzech postaci, podcyfrowanych przez głód, nędzę i pijaństwo, podkreśla jeszcze pewna groteskowość obrazu. Wychudzona i blada twarz dziewczynki jest jakby zdjęta z obrazów Vastimila Hofmana.

Jakkolwiek „Niebieski ptak” jest teatrem nawskroś zespołowym, t. j. takim, w którym najlepsi soliści są jednocześnie chórzystami, jednak na czoło ich siłą swego wybitnego talentu wysuwa się Wiktor Chenkin, artysta o przepięknym głosie. Bogata skala jego artyzmu obejmuje prawie wszystkie dziedziny, ale najsilniej mówi akcentami dramatycznymi. Jego bardzo indywidualnie pojęte „Pieśni błazna”

oraz „Marzenia Kinta”, „piosenki Beranger'a” są klejnotami precyzyjnej gry i wielkiego talentu śpiewaczego.

Należy podkreślić znakomicie zgraną orkiestrę pod batutą prof. S. Kogana.

Przedmowę wypowiada Słonimski z właściwym mu dowcipem, ale bez właściwego sarkazmu, a przemitym konferencjerem jest p. Jarosy, ujawniający nietylko zdolności autorskie („Kanapa”, „Bar amerykański”), ale i językowe, skoro w przeciągu kilku tygodni tak ovladnął polskim językiem, że może nim porozumiewać się z publicznością ku wzajemnej ucieście i zadowoleniu.

Halina C. Wilczyńska.

KRONIKA MODY

Paryż, 14 lipca.

(Kor. wł. „Bluszczu.”)

SPÓDNICZKA PLISOWANA. KRÓTKI PALTOCIK. PELERYNKA. SZALE I ZARZUTKI. KAPELUSZE. POŃCZOCHY. RĘKAWICZKI. WORECZKI.

Warto może pomówić dzisiaj o owych tysiącu drobiazgach dodatkowych, uzupełniających strój kobiety, a podlegających codziennie nowym kaprysom, pomysłom i urozmaiceńiom mody.

Zacząć bodaj wypada od większych sztuk i skończyć na najdrobniejszych.

Niech was nie zdziwi, moje panie, że na czoło owych dodatków stawiam plisowaną spódniczkę. Stała się ona w istocie dodatkiem... niezbędnym naszej toalety. Biała przeważnie, z cienkiego materiału *serge*, stanowić ona będzie — do tenisa: z płócienną bluzeczką marynarską; do jazdy na rowerze: z dżemperkiem wełnianym; na wycieczki piesze i do obozowania w polu: ze swetrem z „trikotiny” w żywych kolorach; na pikniki poobiednie: z krótkim paltocikiem bez rękawów... śliczną i zawsze odpowiednią całość.

Naprowadza mnie ostatnia ta wzmianka na myśl pomówienia o krótkim paltociku. Nie oponujcie mi, kochane czytelniczki, że nie jest on uzupełnieniem niezbędnem waszej garderoby. Popełniłybyście błąd, którego skutków wypadłoby gorzko żałować.

Lepiej więc znać odrazu niezbędną krótkiego paltocika, który zresztą może być długi, zawsze wąski, ściśle oblegający szczupłą (rozumie się) sylwetkę, musi mieć wąskie rękawy z odwinietymi kłapami i stojący kołnierz oficerski. Bardzo często widuje się model takiego paltocika, zapinany z przodu na trzy duże guzy z galalitu i sporządzony z lekkiego *relours de laine* koloru mysiego lub jasno-szarego. Paltocik może być też krótki, tak zwany trzykwierciowy, zupełnie luźno spadający z tyłu i z przodu, bez zapięcia na guziki, z lekko rozszerzonymi, w formie pagody, rękawami. Jeżeli zrobiony jest z granatowego sukienka, można dodać mu białe wypustki; takie same wypustki będą okalały boczna kieszonkę z wyhaftowanymi na niej inicjałami właścicielki oraz mankiety rękawów. Jeśli jest utrzymany w żywych barwach, wypustki i przybrania mogą być zarówno białe, jak czarne. Ładnie też wygląda paltocik z wełnianego *crépe marocain*, przybrany wyszyciem z grubej włóczki pstrej, do cieni, lub też z bawełny merseryzowanej. Paltocik taki, skrócony, przystooczy się w kamizelkę sportową, tak bardzo praktyczną i nadającą się do częstego noszenia...

Bardziej elegancki będzie paltocik z cienkiej mory, wysytyj dżetem stalowego lub czarnego, lub też z jedwabnego *crépe marocain*, cały zahaftowany ręcznie siufaszem jedwabnym.

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

92 „KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA.

Palcocik bez rękawów musi być koniecz-
nie *chiński*. Nie inaczej. Jest to jedna z naj-
świeższych i najmilszych zarazem nowości.
Palcociki takie bywają najczęściej pikowane,
jak dawne nasze kołdry edredonowe. W zeszłym
roku robiono je nawet ze starych puchowych
pierzynek naszych prababek. Przód ich jest
otwarty, dowolnie krzyżujący się, bardzo
wycięty przy szyi, bez żadnego kołnierza, jak
w Chinach.

Najczęściej używane są na palcociki
takie materiały w kolorach szmaragdowo-zie-
lonym lub koralowym, zawsze niemal zahaf-
towane. Taki palcocik chiński noszony będzie
pod wielkim okryciem, co sprawi rokoszną
niespodziankę, kiedy wytworna dama, po zrzu-
ceniu z siebie okrycia na wielkiem przyjęciu,
zabawnie, trochę prostaczo, niepotrzebnie —
i właśnie dla tego są niezbędne.

Nie mogąc wyliczyć wszystkich nieskoń-
czonych odmian żakiecików i palcocików, wy-
mienię jedynie niektóre: z surowego jedwabiu,
z *toile de soie*, z aplikacjami ze skóry, z taś-
mami i z tysiącem innych przybrań; z rękawa-
mi długimi, półdługimi, albo też zupełnie
bez rękawów. Wyglądają one może śmiesznie,
zabawnie, trochę prostaczo, niepotrzebnie —
i właśnie dla tego są niezbędne.

Z natury rzeczy przejść należy teraz do
pelerynek i szalów, należących do tej samej nie-
jako rodziny, że tak powiemy, do ich sióstr
przybranych. Mała koronkowa pelerynka przy
wieczorowej tualecie wygląda bardzo ele-
gancko, ale jest to elegancja, niestety, bardzo
kosztowna. Można się urządzić taniej z rów-
nym prawie efektem, używając na ten cel
mory, atlasu, *voile georgette*, *toile de soie* i t. p.
materiałów, zastosowanych barwą i rodzajem
tkaniny do sukni. Forma pelerynek też wiele
jest urozmaicona: prostokąt z materiału, lekko
zmarszczony dokoła wycięcia szyi i związany
wstążką; trójkąt zwrócony ostrym końcem
w dół; dawnym krojem okrągłym lub też pelerynka
cała plisowana... Liczba ich tak samo
jest nieskończona, jak liczba odmiennych ga-
tunków tkanin i barw, co nie jest bynajmniej
bagatelą. Pamiętać należy tylko, że wszystkie
rodzaje są dobre, z wyjątkiem tych, które
zdradzają zły gust. Im prostsza będzie taka
pelerynka, tem będzie ona szykowniejsza.

Obok pelerynek powodzeniem — nie-
mniejszym od nich — cieszą się, szale i zar-
zutki. Widziałam np. wielkie, opływające
całą postać, szale czarne, białe lub kremowe,
całe bogato zahafowane w wielkie szkarłatne
chryzantemy na rogach; szale ponsowe, czer-
wone, żółte, różowe, zakończone ciężkimi
frendzlami, kosztowne szale jedwabne! Mniej
wspaniałe i tem samem mniej bogate, przy-
stępniejsze w cenie, chociaż bynajmniej nie
tanie, są szale batikowane lub też wprost
drukowane. I w tego rodzaju szalach deseń
i barwa bywają najróżnorodniejsze. Istnieje ich
wybór ogromny, mogący zadowolnić wszelkie
gusty.

Następnie idą niezliczone zarzutki i sza-
le na szyję: z pstrej włóczki, trikotinowe,
z włóczki srebrzystej, z ciężkiego jedwabiu,
z jedwabiu sztucznego, wreszcie z batików,
śliznie, węzowo wijące się szale, miękko
otulające szyję, dodające pięknej kobiecie
tyle czaru i wdzięku.

Która z was oprze się ich urokowi, któ-
ra nie zgromadzi całej kolekcji ich, zastoso-
wanych zarówno do zwykłego kostjumu na
wychodzenie codzienne, jak i do eleganckiej
toalety wizytowej.

Jednym z dążeń mody obecnej, zana-
czającym się zresztą już od kilku lat, jest
dążenie do tworzenia harmonijnego zespołu.
Zastosowanie szala, kapelusza, pończoch,
buków i woreczka do sukni zawsze jest w bar-
dzo dobrym guście i tonie.

Nietrudno też osiągnąć taką harmonję
barw, opasując np. kapelusz wstążką, przypo-
minającą barwą swoją szalik, zarzucony na
szyję lub kostjum, noszony w danym momen-
cie. Efekt będzie bardzo udatny. Zaznaczyć
należy, że kapelusze obecne są zupełnie pros-

tych fasonów i cała ich wartość polega na
materiale, z którego są zrobione oraz z ro-
dzaju ich przybrania. Pomimo poważnych za-
machów na formę kłozowa, utrzymuje się
ona jednak w dalszym ciągu. Jest podstawą
każdego niemal kapelusza. Może być podnie-
siona nieco z przodu, podwinięta z prawej
strony, w tyle zupełnie ścięta, bez rona —
taki jest szereg najnowszych jej odmian.

Zauważyć się dają próby powrotu do
stylu dyrektorjatu. Ale niewielu osobom jest
dobrze w tych kapotkach, wydłużonych z przodu
i mocno wygiętych w łuk. Kapelusze
strojne, przybrane, — zawsze będą więcej lub-
biane, aniżeli zwykłe tylko formy, wszystkie
jednak muszą być z małemi główkami. Bardzo
gorąco polecam miękkie oblegające głowę
t. zw. *capeline*, które będą bardzo modne,
z włosia, z tafty, z koronki, nawet z miękkiego
płótna. Obciążone z boku dużym pękiem róż
mszystych lub pleręzą strusia, spadającą na
ramię — są kapelinki takie bardzo szykowne
i twarzowe.

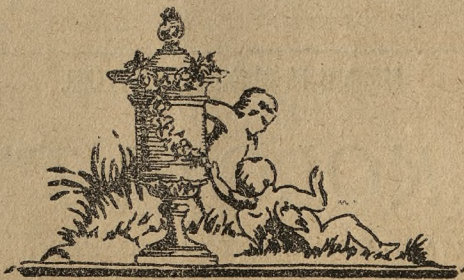
Pończochy jedwabne są jeszcze bardziej
modne, niż dotychczas. Są one jednak bardzo
drogie, w Polsce droższe jeszcze, niż gdziein-
dziej, z powodu cła. Pończocha z cienkiego
fil d'écosse gładkiego, w kratki lub w prążki,
w modnych kolorach, jasnych, przeważnie cie-
listych i różowych, jest równie ładna, a do-
stępniejsza dla wielu kieszeni. Jest wiele
kobiet bardzo eleganckich, które śmiało je
noszą, nie używając prawie wcale jedwabnych.

Obuwie ma w dalszym ciągu formę spi-
czastą; ponieważ jednak suknie nosi się obec-
nie krótkie, obcasy są wyższe... Logika ko-
bieca chce je też mieć często w różnych
kolorach: brunatno czerwone, szare, ponsowe,
mysie, niebieskie, zielone (zastosowane do
tualet wieczorowych). Najładniejsze są wszak-
że pantofelki balowe z lamy złotej; najbardziej
zdobią one nogę. Szewcy wysilają pomysło-
wość swoją na stosowanie najprzeróżniejszych
fasonów wycięć, pasków, patek i t. p. Bywają
też fasony zupełnie zwykłe pod względem
wykroju wycięcia, przybrane wszakże piękną
klamrą ze strassu albo stalową, bardzo efek-
townie wyglądającą na zgrabnej nóżce.

Szersze pole, niż kiedykolwiek ma fan-
tazja wytwórców w obmyślaniu nowych wzorów
rękawiczek, puszczających na rynek przez
fabrykantów, współzawodniczących wzajem zso-
bą pomysłowością i usiłujących znaleźć coś
nowego w tej dziedzinie, aby zdobyć niewy-
zyskane dotychczas efekty, nie umijące nic
z dawnego wdzięku i elegancji. Widziałam
więc rękawiczki z cienkiej skórki kozłowej,
ściśle oblegające rączkę i najlepiej uwydatnia-
jące jej linję daleko po za przegub, a potem
zakończone szerokiem obrzeżeniem z drobnych
białych i czarnych patek. Taki mankiet,
otwarty z boku czyni wrażenie małych skrzy-
dełek uczepionych u dołu ramienia. Inne
znów fasony, zaciśnięte dokoła nasady ręki
wązką taśmą, rozszerzają się w postaci kieli-
cha kwiatowego o gładkich płatkach. Nade-
wszystko jednak wicie, szanowne panie,
równie dobrze jak ja, że rękawiczka, o ile ma
być prawdziwie elegancka, nie może być zbyt
małą, bowiem w takim razie obciska zbyt
mocno rękę i nadaje jej kształt kiszkiowaty,
a tem samem bardzo niezręczny.

O woreczkach pomówimy innym razem.

Hrabina Annie



KONFITURY

(ciąg dalszy)

Poziomki (leśne i ogrodowe miesięczne).
Wszystkie poziomki smaży się w jednakowy
sposób; leśne mają więcej aromatu, którego
oczywiście udzielają konfiturom, ogrodowe
są bujniejsze i nie tak łatwo się rozgotowują.
Szczególniej ładne konfitury są z poziomek
miesięcznych, białych.

Świeżo uzbierane, nieprzejrzałe i niepo-
gniecione poziomki starannie przebrać. Na
funt poziomek należy brać półtora funta cu-
kru, ulep zrobić odrazu bardzo gęsty, (na
funt cukru biorąc pół szklanki wody), na ten
ulep wrzucić poziomki, wymieszać bardzo
ostrożnie łyżką surowe poziomki z syropem
(w czasie gotowania już mięsząc nie należy,
boby się poziomki pogniotyły), miedniczkę od-
stawić od ognia, aby się jagódki dobrze syro-
pem przejęły. Po dziesięciu minutach przy-
stawić na mocny ogień, gwałtownie raz
zagotować, potem dosmażać na wolnym ogniu,
potrząsając miedniczką, aby się wolno smaży-
ły. Próbować, jak zwykle konfitury, gdy są
przeziroczyste, dodać na każde kilo konfitur
pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce prze-
gotowanej wody; nie gotować już więcej. Po-
ziomki, jako nie kwaśne, można ostudzić
w miedniczce, w której się smażyły. W kilka
godzin, gdy zupełnie ostygną, przełożyć do
nieodżychnych słoików i pozawiazywać perga-
minem.

Truskawki ananasowe. Staroświeckie
truskawki ananasowe, dzisiaj mało w których
ogrodach hodowane, nieduże i niepozorne,
dają wyborną konfiturę, nadzwyczaj aromatycz-
ną. Ponieważ nie mają goryczki, właściwej
poziomkom, można je smażyć, biorąc półtora
lub też tylko funt cukru na funt owocu,
w ostatnim razie będzie to gęsta, do gospo-
darskiego użytku konfiturka, mająca jednak
smak i aromat wyborowy. Ogonków truskaw-
kom nie należy urywać, gdyż jagódki w sma-
żeniu by się porozpadały, — należy ogonki te
wraz z listkami je otaczającymi obciąć no-
życzkami. Dalej się postępuje zupełnie tak
samo, jak z poziomkami. Truskawki ananasowe
mają też odmianę białą, znacznie od różowych
większą, z której konfitura jest bardzo ładna,
koloru lipcowego miodu.

Truskawki „Wiktoria.” Pod tą ogólną
nazwą są znane przeróżne gatunki olbrzymich
truskawek, wyraźnie kwaskowych i bardzo
aromatycznych, będących właściwie uszlachet-
nioną poziomką.

Owoce te, bardzo duże zwykle, wyma-
gają bardzo ostrożnego postępowania z nimi
przy smażeniu, o ile chcemy je zachować
w całości.

Naprzód owoc, zebrany w suchy dzień
popołudniu, aby nie było na nim rosy, należy
nożyczkami obciąć z listków i szypułki, (nie-
którzy samą szypułkę pozostawiają, aby owoc
ładniej wyglądał, — jest to rzecz gustu).

Każdą truskawkę umaczać w araku lub chociaż w spirytusie, ułożyć na półmisku, osypać obficie cukrem, tak pozostawić noc całą. Z rana zrobić gęsty syrop (pół szklanki wody na funt cukru), biorąc półtora funta, a nawet dwa funty cukru na funt truskawek, — na ten ulep wrzucić truskawki, dać raz zawrzeć, odstawić, a to w celu, aby duże jagody miały czas nasiąknąć syropem. Smażyć dalej wciąż z takimi przerwami, aż owoce zupełnie przezroczyste się staną, a syrop nabierze odpowiedniej gęstości. Dodać benzoesu, jak zwykle, dalej postępować, jak z poziomkami. Na domowy użytek można smażyć te truskawki, biorąc funt cukru na funt owocu, — konfitury takie będą mniej okazałe, lecz smaczne i aromatyczne. Truskawek „Wiktoria”, jako owocu kwaśnego, nie należy studzić w miedniczce, — lecz przelać dla ostudzenia w naczynie fajansowe lub porcelanowe.

Róża. Na konfitury różane można używać tylko róż cukrowych lub centofolji, wszelkie różę herbaciane i inne gatunki są nieodpowiednie.

Wziąć funt listków różanych i nawpół rozwiniętych kwiatów, obciąć z nich wszelką żółtość przy nasadzie listków, wsypać w makućkę, wsypać funt cukru, wycisnąć sok z dwóch cytryn, ucierać wałkiem, aż się zrobi jednolita masa. Zrobić na funt róży ulep z półtora funta cukru, biorąc szklankę wody na funt cukru, na wrzący ten ulep wrzucić różę, utartą z cukrem i cytryną, i smażyć na bardzo wolnym ogniu aż masa się stanie przezroczystą, dodać jak zwykle benzoesu, składać jeszcze ciepłą konfiturę do małych słoików, aby przy częstym otwieraniu słoików, aromat się nie ulotnił. Po zupełnym zastygnięciu zawiązać słoiki. To jest najlepszy sposób smażenia róży, — dawniej parzono listki róży wrzątkiem, hartowano, zlewając zimną wodą, — co razem wzięte tylko, smak i aromat jej odbierało.

Agrest zielony. Agrest smażyć należy pomiędzy 15 a 25 czerwca, kiedy owoc jest zupełnie wyrosnięty, lecz zupełnie twardy. Na smażenie należy brać agrest dużego, gładkiego, ciemno-zielonego gatunku, — gdy weźmiemy agrest chociaż niedojrzały, lecz innego, nie ciemno-zielonego koloru, żadne starania nie pomogą, konfitura nie będzie miała ładnego koloru. Jest to kofitura, wymagająca dużo zachodu i dużego nakładu pracy, — udana stanowi chlubę gospodyń, — niestety, często się nie udaje.

Agrest wydrelować, oplukać, odcedzić i osączyć na sicie, — ułożyć do polerowanego garnka, przekładając obficie liściem wiśniowym, zalać spirytusem, przykryć pokrywą, zakleić szczelnie garnek ciastem, wstawić w gorący piec po chlebie na cztery godziny. Po wyjęciu natychmiast wyrzucić na sito, zlewać zimną wodą z lodem, aby okrzepnął. Zrobić gęsty ulep z pół szklanki wody na funt cukru, biorąc na razie funt cukru na funt agrestu, letnim ulepem zalać agrest w wazie lub salaterce. Nazajutrz ulep zlać, dodać cukru po ćwierci na funt, wysmażyć do gęstości, letnim zalać powtórnie agrest, — powtórzyć to raz jeszcze, (cukru powinno być najmniej półtora funta na funt agrestu). Nakoniec do wrzącego syropu wrzucić agrest i smażyć z przerwami, jak truskawki „Wiktoria”. Dodać benzoesu, gdy agrest już przezroczysty. Dać ostygnąć w salaterce. Na drugi dzień dopiero wkładać w słoje.

Agrest dojrzały. Jest to wyborna konfitura, mało u nas używana, zasługująca ze wszęch miar na szersze rozpowszechnienie. Używa się na nią agrestu czerwonego, zupełnie dojrzałego. Na funt owocu, zwykle bardzo słodkiego, bierze się funt cukru, — otarty z kurzu z obcięciami szypułkami i resztkami kwiatu, owoc płucze się raz jeszcze, osącza na sicie, zalewa na 24 godziny letnim ulepem, zagotowanym ze szklanki wody na funt cukru, po 24 godzinach stawia się całą konfiturę na bardzo wolnym ogniu, aby agrest możliwie mało pękał. Gotuje się powoli, ze zwykłymi przerwami pięć lub dziesięć minutowymi. Gdy agrest się stanie przezroczysty, aż widać będzie ziarenka przez łupinę, a ulep zacznie gęstnieć, konfitura gotowa. Można dla dodania aromatu włożyć przy smażeniu parucalowy kawałek wanilji. Po usmażeniu dodaje się, jak zwykle, benzoesu i ochładza konfitury w naczyniu fajansowym przed włożeniem do słoików.

Orzechy włoskie zielone. Orzechy włoskie, wyrosnięte do naturalnej wielkości, ale zupełnie niedojrzałe, to jest mające miękką łupinę i ziarnko nieuformowane, należy zebrać w końcu czerwca, — nakłuć każdy gęsto srebrnym widelcem, wrzucić w kubał wody i moczyć tak przez dni trzy, codziennie wodę zmieniając. Po trzech dniach zlać je na sito, osączyć z wody, osuszyć płótnem. Odważyć na funt orzechów półtora funta cukru, z połowy zrobić lekki ulep, zalać zaledwie letnim orzechy, aby je dobrze objęło. Następnego dnia ulep zlać, dodać połowę pozostałego cukru, przegotować, zalać orzechy nieco cieplejszym. Po 24 godzinach powtórzyć to raz jeszcze, zalewając ulepem zupełnie gorącym. Na czwarty dzień do zalanego ulepu dodać sok z cytryny, otartą z niej skórkę i do wrzącego wrzucić orzechy, smażyć na razie na dużym, potem na wolnym ogniu, — jak każdy większy owoc z przerwami kilkuminutowymi. Gdy orzechy się stają przezroczyste, a ulep gęstnieje, odstawić, dodać benzoesu, ostudzić zupełnie w miedniczce (co nadaje im ładny kolor) i złożyć w słoje.

Maliny. Malin znamy ogólnie trzy gatunki: drobne, leśne, najbardziej aromatyczne, duże, amerykańskie, najładniejsze w konfiturze i białe bardzo słodkie, delikatne dające najbardziej elegancką i cenną konfiturę. O ile chcemy mieć owoc cały, niepognieciony, wszystkie te gatunki smażyć się w jednakowy sposób. Należy przejrzeć dokładnie każdą malinkę we środku aby usunąć te, w których się mieszczą robaki, ułożyć jedną obok drugiej na półmisku, skropić spirytusem lub arakiem, osypać obficie cukrem, postawić na noc w chłodne miejsce. Nazajutrz zrobić syrop z półtora funta cukru i szklanki wody na funt

owocu, na wrzący wsypać maliny, potrząsnąć dobrze miedniczkę aby wszystkie maliny zanurzyły się w syropie i natychmiast odstawić. Po dziesięciu minutach przystawić znowu, zagotować na wolnym ogniu, — odstawić znowu na dziesięć minut. Tak smażyć z przerwami aż maliny się staną przezroczyste. Nie mięszać wcale łyżką aby jagódek nie pognieść, szumowiny zbierać łyżką odwróconą dnem do konfitur. Do gotowych konfitur dodać benzoesu w zwykłej ilości. Ostudzić w miedniczce i składać w słoiki jak zwykle. Z leśnych malin można smażyć mniej wykwintną konfiturę, biorąc funt cukru na funt owocu, — jest ona zdrowa dla dzieci, daje się dorosłym i dzieciom na poty przy zaziębieniu i katarze i jest wyborna do przekładania ciast i tortów.

Pani Elżbieta

LEGUMINA NAPRĘDCE.

Pokrajac w plasterki bułkę, namoczyć w mleku i rozbitym jajku, obsypać tartą bułką i usmażyć na maśle. Grzanki gorące posypuje się cukrem z wanilią, nakłada galaretką i konfiturami.

Z.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 31

305. Kostjum z czarnego sukna, przybrany wyszyciem. Kołnierz i mankiety fokowe.

306. Suknia na ulicę z brązowego crèpe marocain. Spódnica gładka. Stanik w deseń.

307. Palto z zamszu popielatego. Guziki rogowe.

308. Paltocik dla chłopczyka od lat 6 do 9 z materiału angielskiego.

309. Paltocik dla dziewczynki od lat 8 do 12, z angielskiego materiału.

310. Kostjum żałobny z czarnego sukna, przybrany krepą i czarną taśmą.

311. Żałobna suknia z odciętymi falbanami.

312. Palto z peleryną z materiału w kratę.

313. Kostjum z czarnej wełny, wykończony wąską tasiemeczką.

314. Kostjum granatowy, wykończony białą wypusteczką.

315. 316. 317. Spódnice wełniane, przybrane taśmą lub wyszyciem.

318. Palto z jasnej wełny, bogato haftowane.

319. Paltocik dla dziewczynki od lat 7 do 12 z paskowego sukienka. Wyszycie trochę ciemniejsze.

320. Paltocik z peleryną dla dziewczynki od lat 8 do 12.

321. Paltocik dla małego dziecka z ponsowej wełny, przybrany czarną plecionką.

322. Bluzka z białego woalu. Wyszycie i kokarda czarne.

323. Bluzka z deseniowego crèpe marocain. Falbanki białe plisowane.

324. Skromne palto z angielskiego materiału.

325. Palto z peleryną z materiału w drobną kratkę.

326. Wzór na poduszkę, haft kolorowy. Wielkość naturalna 32x45 ct.



Od Wydawnictwa.

Biorąc pod uwagę fakt, że znikoma liczba, bo zaledwie 16 Pań Prenumeratorek nie dosyłało Administracji 50 groszy miesięcznie za arkusz wzorów haftów do kopjowania—ogół zaś Szan. Czytelników z zadowoleniem przyjmował tak małe obciążenie materjalne wzamian za cenny—jak wspomniano w wielu listach do Redakcji—dodatek do „Bluszczu“ postanowiliśmy: **OD 1 b. m. DODAWAĆ DO „BLUSZCZU“ ZAMIAST, JAK DOTYCHCZAS JEDNEGO, DWA ARKUSZE WZORÓW MIESIĘCZNE.**

Od 1 b. m. również Prenumerata „Bluszczu“ będzie jednostajna dla wszystkich Pań Prenumeratorek, bo wszystkim wysyłać będziemy tablicę wzorów i wynosić będzie miesięcznie—łącznie z przesyłką **4 zł.**

„ZAGADNIENIA METAPSYCHICZNE“

CZASOPISMO KWARTALNE POŚWIĘCONE BADANIOM NADNORMALNYCH OBJAWÓW Z DUCHOWYCH I FIZYCZNYCH DZIEDZIN BYTU.

CENA NUMERU 2 ZŁOTE

WYSZŁY JUŻ **№ 1** i **№ 2.**

Skład główny w WARSZAWIE
w Księgarni

„DOBRA KSIĄŻKA“

Aleje Jerozolimskie **№ 47.**

Wsprzedaży we wszystkich księgarniach
Redakcja: Marszałkowska 53 m. 39.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
 $\frac{1}{2}$ „ 51 „ 75 „
 $\frac{1}{4}$ „ 29 „ 25 „
 $\frac{1}{8}$ „ 15 „ 75 „
 $\frac{1}{16}$ „ 9 „ — „
 $\frac{1}{24}$ „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Dr. I. SADOWSKA

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczenie Seborrei, trądzika, włosów, opierzchnięcia, czerw. twarzy. nosa.
151 Kosmetyka lecznicza.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

Dr. M. TUCHENDLER

B. LEKARZ KLINIKI PROF. LESSERA
CHOROBY SKÓRNE, KOSMETYKA
(ŁUPIEŻ, PIEGI, PLAMY, USUWANIE
BRODAWEK ELEKTRYCZNOŚCIĄ)

od 11 do 12 $\frac{1}{2}$ i od 6—8. 221

Królewska 27 m. 1. Telef. 14-27.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.

Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40